

TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRET E. hr. PL. Z.
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

LUDOMIR JANOWSKI

Stoimy wobec nowej fali twórczej... Cóż nam przynosi? Szum i moc morza, potęgę żywiołu—szeptów słodkich wyznanie, czy jęk żalostnej niedoli?... Ani jedno, ani drugie, ani trzecie: nowa, nieznaną dotąd falą zbiorową, a piąta z kolei darzy nas czemś, co było sztuce naszej potrzebne chyba nad wszystko, co świadczy o dużym zaiste pokrzepieniu jej sił i środków: przynosi umiar i spokój.

Nie jest to jeszcze wyniosły spokój bogów, olimpijska powaga wszechświadości, błoga, uśmiechniona cisza mistrzów... Są to rzeczy do osiągnięcia za trudne i niepożądane. Spokój, który jaśnieje w salonach Piątej Wystawy Dorocznej, jest tylko dowodem, że sztuka pewnego okresu dojrzała, wyszła z fermentów i wrzenia: rozpoczyna zaś erę nową—własnej kultury.

Horoskopy, stawiane twórczości polskiej, sprawdzają się co do joty: cała burza pejzażowa, szalejąca do niedawna nad światem malarskim, przeszła już zupełnie, pozostawiła rezultaty wprost błogosławione: szacunek dla praw krajobrazu, tak bardzo ignorowanych dawniej przez „poważniejsze“ malarstwo, wyłoniła z siebie talenty wierne i silne, które, po odpadnięciu falangi naśladowców, zajaśniały spokojnie i wdzięcznie, stając się źródłami mocnego, jędrnego, szczerzego pejzażu polskiego.

Zamilowanie zaś pewnej grupy artystów do samych portretów i studyów przeszło również w stan bardziej zdrowy i spokojniejszy, przynosząc ze sobą zdwojone wymagania co do prawdy artystycznej i siły wyrazu.

Kompozycja figuralna zatem, która się miała narodzić teraz, *nie mogła już opierać się na konwencyonalizmie anegdoty i pierwiastku literackim*, ale musiała być tęgą *artystycznie*. Wszystkie te ścierania się t. zw. prądów, których widownią był szereg lat ubiegłych, zarówno odkrycia dróg nowych dla samej techniki, jak też i pozorna nuda i czczość całej sztuki naszej, sprawiły, że wezbrała nie tylko tęsknota za ideałem Piękną silnego i ożywczego, ale wzmogły się również *wymagania techniczne*, a to pociągnęły za sobą nieuniknioną już wtenczas i tak bardzo konieczną: kulturę przedmiotu.

Dziś rzecz można, że sztuka, a przynajmniej: malarstwo polskie stało się bardziej poważne i wytworne. Szumowiny dawnej dziczyny spłynęły, ukazała się postać, spowita w ciszę, nie jałową, lecz tę, w której Poezja dzwoni.

„Starzy“ zachowali jeszcze swą młodość, a „młodzi“ szybko i stanowczo dojrżeli... Niewzruszone postulaty umiejętności, których zawsze broniliem (co było nieraz powodem do uśmiechów), odniosły stanowcze zwycięstwo; oparli się na nich krzepko i ufnie, odbiły od ziemi liczne, bardzo liczne talenty... Chcąc ów lot twórczy, podniebny posiąść i okiełznać, wzniosłym i promienistym kierować hipogryfem, trzeba przedtem długo i serdecznie na ziemi pracować. Nie będzie czynił czarów ten: *kto nie wie, jak się czaruje...*

O prawach skali barw, o aksjomatach palety, ograniczonej ramy i poziomych, a tak bardzo ważnych sprawach pędzla, płynu, którym się maluje, i płótna, można napisać grubą księgę; tymczasem dość powiedzieć, że artyści polscy zacinają się z temi nader ważnymi drobnostkami



FRAGMENT MAŁEGO RYNKU W KRAKOWIE.
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

St. BAGIEŃSKI

liczyć coraz więcej. Stanowi to poważny krok do kultury, do rzetelnej dojrzałości ich sztuki.

Teraz dopiero może wyjść z jaskiń, z lasów nieznanych, gdzie spalo, jasne i nieśmiertelne — Natchnienie.

Kiedy przed laty pięciu, wśród kilkunastu artystów polskich powstała myśl założenia wielkiego zbiorowego salonu i urządzenia go w Warszawie, przyjęto ją nieufnie. Zdawało się, że dość już było wystaw, że ogół znudzi się, artyści zaś nie już innego nie powiedzą... Rzeczywistość zaprzeczyła przepowiedniom: „salon doroczny“ przetrwał wszystkie najgorsze, tak ciężkie dla kraju, lata, ostał się i trwa.

Trwa w całym, rzecz można, blasku: piąty z kolei przynosi, jak powiedziałem wyżej, błogą różdżkę Pokoju; słoneczne oczy majestatycznej bogini zdają się spoczywać na tych wszystkich szerokich, rozległych izbach, wdzięcznie ozdobionych tworamami ducha.

Przejdźmy się po nich.

A więc pierwsza — największa. Przeważają poważne, szanowne nazwiska.

Oto Jacek Malczewski, najtęższy może z truwerów Duszy narodu... Poza znaną już skądinąd „Śmiercią“, raczej autoportretem, rzecz inna: „Robotnik“, wizja olbrzymia, postać główna potężna, zadumana głęboko, jakowyś *Il pensieroso* proletariatu: o czym дума, co rozważa w niezwykłej, przez malarza stworzonej duszy? Któż odgadnie! Obraz nie jest tanim aktualizmem zagadnień społecznych, współczesnych—jest wprost zapytaniem, pobudką do zadumań wewnętrznych i *jedynie* takich... Dlatego Malczewski jest taki duży: posądzany stale o różne tendencje wysoce

społeczne, jest zawsze i tylko *indywidualistą*.

Obok Fałat: snopy wrażeń czułych, jak iskra elektryczna—trzy arcydzielnie wymalowane pejzaże: śnieg, las mroczny z sylwetkami jeleni i krajobraz jesienny.

Owdzie Józef Brandt po staremu Tatarów tłucze: rozmach i brawura, na szeroką pojętą skalę, maestrya pędzla zdaje z góry przewidziany egzamin. Przy burzy spokój: na długiej drewnianej ligawce gra pastuch wśród mgieł, o poranku, cudownie gra, a niebo mieni się w róż i złoto—stogi po łąkach słuchają i w mgłach melodia płynie... Stary to czarodziej uczynił; obok żorawi stado: cisza barw w obu obrazach, przedziwna skala tonu tylko pod pędzlem Chełmońskiego wydarzyć się może.

Opodał portret mistrzowski: głowa męska w berecie, o świetnie wyczonej bryle, ton galeryowy, przyćmiony, tęgi portret, aż w oczach ćmi: gość rzadki u nas dzisiaj — Horowitz Leopold.

Odwróćmy się i patrzmy w ścianę drugą, gdzie przy stole okrągłym, takim kochanym, starym stole dwie dziewczynki usiadły: obie są takie młode, takie ładne i świeże, jak ten bukiet kwiatów, co się przed nimi dyskretnymi barwami uśmiecha. Rysunek tu bezpretensjonalny, lekki, doskonale wyczone drobne ciało, śliczne nóżeczki: obraz równie miły, jak muszą być portretowane na nim istoty. Augustynowicz ozdobił nim salę nie na żarty, jest to portret, który daje więcej, niż wrażenie życia, przynosi bowiem Poezję.

Widzimy ją również, jak wychyla się z mgieł na Tamizie, szeroko znaczonej pastelami przez Uziembłę; czujemy ją w szumie starego kasztana, w którym Rapacki najpiękniejsze swoje melodie przez barwę przetopił...

Z poezją w duszy błogo jest chodzić po świecie: oto druga, obficie zawieszona sala.

Znow króluje portret: kobieta nad księgą—dzieło Horowitza. Należy podziwiać maestryę tonu, opanowanie środków malarskich i całą koncepcję przedmiotu. Obraz należy do rzędu tych, na które „wiecznie patrzeć można“.

Oko przepływa po wytwornych tonacjach arystokratycznej sztuki Ślewińskiego, przechodzi do japońskich symfonii Pieńkowskiego, aby zatrzymać się przed niewymownie szczerym i prostym, bardzo pięknym pejzażem Ziomka, tudzież „Gwiazdą“ Straszewicza.

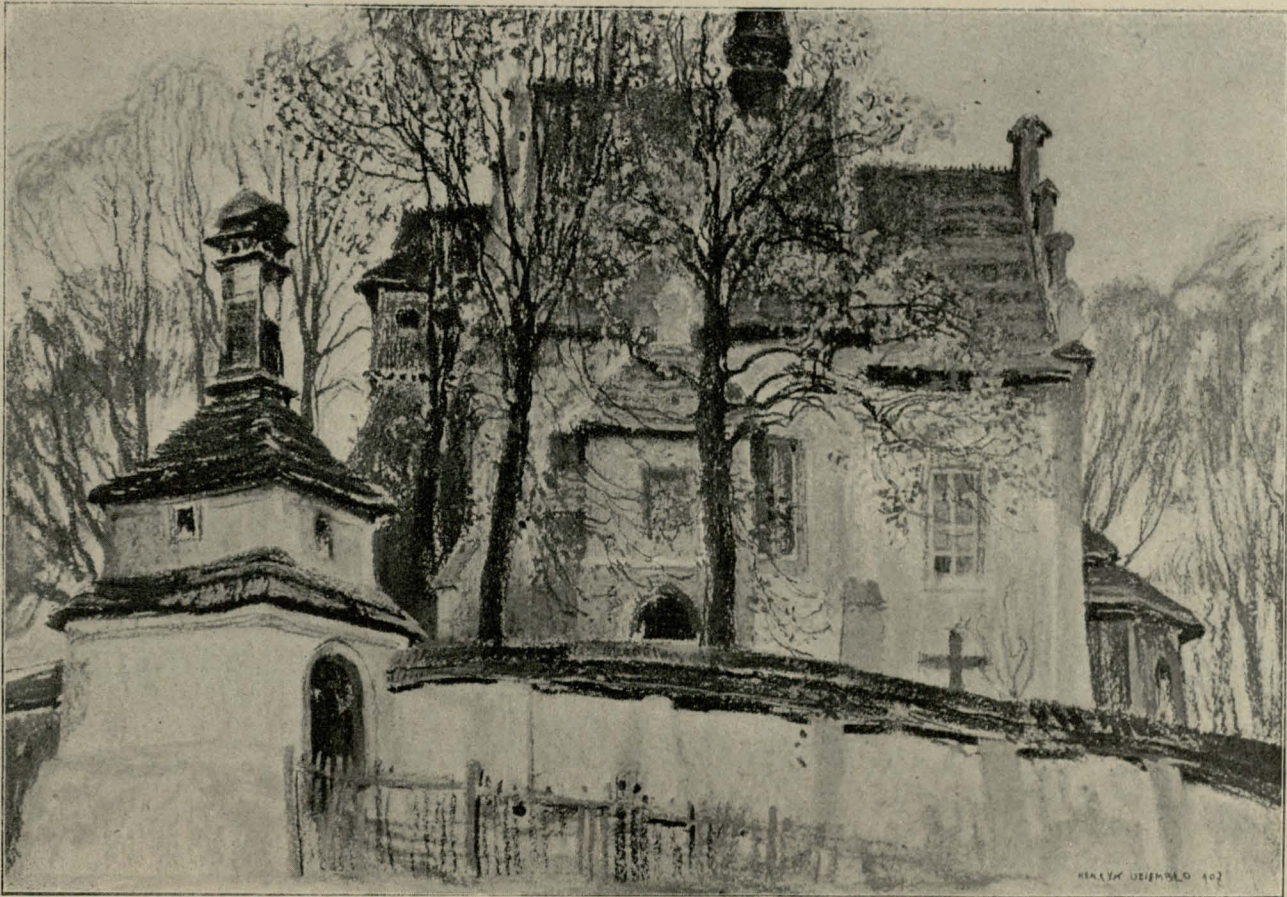
„Złota noc“ na Wiśle Popowskiego z cicha szemrze leciuchnymi falami, uspasabiając do marzeń, pozorne drobiazgi Wankiego wywołują mimowoli ogromnie szczerze wyznanie: O! *malarz...* Kto wie, czym jest malarstwo—zrozumie.

Malarstwo nie jest techniką, ale szukaniem ostatecznego wyrazu Piękną przez technikę. A Wankie wygrywa etudy na swoich drobnych deseczkach, jak na skrzypcach—kapryśne, trudne i piękne.

Portretów jest w salonie dorocznym, moc, wiele poprawnych i spokojnych, kilka świetnych, do takich należy Okunia. Dama w sukni ponsowej traktowana z grandezzą i wykwentem. Bardzo dobry jest „Portret p. W.“ du Laurens'a, oraz drzeworyt barwny Krasnodębskiego: „Portret bar. Kronenberga“, na szeroką skalę wycięta charakterystyka zwięzła, lapidarna i mocna.

Inteligentnie i kondensywnie malowany por-

KOŚCIÓŁ (akwarela)



HENRYK

UZIEMBŁO

Wystawa doroczna
w Salonie T. Z. S. P

tret Koźniewskiej przynosi prawdziwy zaszczyt autorce; Tańskiego „Dama“ ma duży wdzięk i szczerą swobodę kreski.

Zastanawia kompozycja ogromna i ciekawa, złożona z postaci dwóch, ale niezwykle tęgich, tytuł: „Włodyki“, jakowyś wójt przez pół bronowicki, Czepcowy ród, i kobieta obok, małżonka godna—oboje w kapotach i w chałupie z obrazami, w koronach przecież ze szczerego złota, kamieniami sadzonych.

Obraz to może nie w zupełnej zgodzie z własnym wyrazem, z ostateczną formą, może zbyt grotoska, narazie mało przetrawiony jeszcze i przemyślany, ale jako jednorazowy wyrzut myśli, jako błyskawica—niezwykle, *nadzwyczajnie* ciekawy i zasługujący na uznanie. Wszak „chłop każdy ma coś z Piasta“...

Poruszenie *tej* właśnie struny w twórczości naszej to już *wielka rzecz*. Autorem tej niezwykłości jest Skotnicki, malarz z Krakowa. Niechajże jak najwięcej takich bajecznych „Włodyków“ sztuce polskiej przysporzy!

Z innych figuralnych obrazów na pierwszy plan wysuwają się dwie znane już piosenki Hofmanna: „Pogrzeb“ i „Z trumienką“, w obu czuć zmęczenie niemal ostateczne motywu, a lubowanie się artysty o tak tęgim talencie w owijaniu swoich bohaterów w potworne masy łachów, szmat i ekscentryczności chwilami doprowadza do rozpacz.

Dużo efektu i pomysłowości malarskiej wykazuje „Bogini łowów“ Wasilkowskiego, mało wszakże dzika i żywiołowa. Włodzimierza Tetmajera „Marsz Skrzyneckiego“ jest kompozycją, obliczoną na ton złotawy, co artyście, przywykłemu do jaskrawych, słonecznych kolorowości, musiało przyjść z trudnością, ale zarazem i z tryumfem.

W „Myślach“ Piechowskiego znajdujemy magiczną konstrukcję malarską, przy dziwnym, jak zawsze, zbiegu wspaniałości z poziomością. Konstrukcja tego interesującego obrazu jest, jak powiedziałem: magiczna, dość powiedzieć, że wszystko zaczyna się tam i kończy na desenie

serwety, którą okryty jest stół; gdyby tej serwety nie było, całe czary kompozycji runęłyby odrazu: całość jest, jak figiel muzyczny, oparty na leitmotiwie esów-floresów złotych w zielonym tle.

Piechowski to też silny „indywidualista“. W każdym jego obrazie prześwieca poezja i przepoziomą banalność biorą się za bary. Czasem zwycięży anioł, czasem figlarz-człowiek: najczęściej widać tylko ich walkę.

Tuż obok Neumana „Śnieg“, gdzie są pyszne przezrocza gałęzi i złote, śniegowe dale, bardzo, mimo swe złoto, zimne—co być powinno i jest.

Z Kowalewskim Bronisławem po sadach jesiennych i zadumanych dolinach chodzimy, jest to ten sam, co zawsze, szczerzy, oddany Naturze człowiek, coraz bardziej może kolorowy, coraz bardziej sam na sam ze swym mocnym talentem.

Dalej w oczy biją barwne nastroje krakowskie Krasnowolskiego, ciemną, głęboką plamą znaczy się przy nich „Stare miasto“ Trzebińskiego, poważny, tonowy obraz.

Pillati'ego Gustawa „Zuzanna“ zastanawia nowością motywu u tego zuchwałego malarza, jest to jedyny akt kobiecy na całej wystawie: ciekawy i wciąż ten sam objaw.

Oto znowu ogromy i szereg ludzi, to Minkowskiego „Zaręczyny“ i „Po pogromie“. W obu obrazach nader dużo obserwacji, pracy i talentu, ale mało opanowania i silnej ręki malarskiej.

Indywidualizm godzien poparcia. Można mu postawić zarzut, że maluje masy figurek ludzkich, ale nie *tłum*. Przytem naiwność jego nie jest prymitywnością poety, lecz brakiem rozmachu i odwagi. Z rozkoszą przenosi się oko na stylowe drobiazgi Szreniawy-Rzeckiego, bardzo wycute i tego ujęte, jak również jego „Jabłka i talerzyk“, które doskonale i dobitnie mówią, że są jabłka i—jabłka...

Te Rzeckiego są prześliczne, jako plama i jako nowy dowód, że wszystko jest wiecznie nowe w krainie Piękna.

Jubilerskie, drobne pejzaże Noskowskiego są

serdeczną dla oka chwilą: szczególnie „Złoty znój“, w którym Poezja mieszka.—O! mieszka...

Nie brakło kompozycji tym razem: oto zawsze ideałowi swemu wierny, wytrawny, doświadczony malarz, Antoni Piotrowski. Jego „Bereścisko“ ma szeroki, mało dziś tykany, trudny temat. Jan Kazimierz na koniu, hetmani u podnóża, w dali wojska się tłuką: wiek XVII, Paskowe czasy... Rzadki gość taki obraz na wystawach naszych. Druga kompozycja „Pożegnanie“, mniej ciekawe i mniej trudne porusza motywy...

I znów obrazy, obrazy, obrazy...

Z małych ram patrzy na nas rumiany, zdrowy chłop, w potężnej łapie pędzel trzyma, w wapnie unurzany... Czy to studium? Nie. To „Pobielacz grobów“ Hofmanna... Wszystko w tym obrazie jest dobre—prócz tytułu: a jeżeli tytuł jest dobry—to cały obraz na nic. Pobielacze grobów oprócz pędzla z wapnem mają jeszcze i twarz zapewne zgoła inną. Nic bardziej nie razi w sztuce, jak wtlaczanie twórczej poezji tam, gdzie jej wcale niema.

Oto jeszcze jeden rzut oka: doskonały, stylowo ujęty portret damy w kapeluszu Ludomira Janowskiego, bardzo ciekawa głowa kobieca Nostitz-Wasilkowskiej, pejzaż Czajkowskiej, tegoż jakaś zakrystyjna martwa natura, tęga w tonie, cała falanga obrazów, rysunków, akwarel, akwafort, rzeźb, ceramiki, czego obejrzeć nie sposób, zmęczone już i oczy i dusza, które tyle obcych wchłonąć musiały. Omijam nie jednego i nie kilku, ale legion artystów polskich, nie z intencji, ale z niepodobieństwa i dla szczupłych ram artykułu...

Wszyscy, którzy udział w Piątym Salonie biorą, wystawili sobie świadectwo, że pracowali przez rok ubiegły serdecznie i głęboko, nie fizycznie i nudnie, ale duchem i sercem. Ten wszakże charakter umiaru, spokoju i powagi, jakim się wystawa odznacza, nie powiniem zastęgać w kształt wieczny, lecz wydać z siebie nowe, budzące, twórcze moce potężne i nad pięknym, bogatym łanem, nad powagą życia—rozskrzydlić wysoko promienne jego: MARZENIE.



„CHLEB“ TRYPTYK
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

ZDZISŁAW JASIŃSKI

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI POWIEŚĆ.

50,

— Nie ja się wziąłem, ino mnie wzięli. Ja se chodziłem po prośbie, aż raz, akurat na Boże Narodzenie, zaczepił mnie jeden pan i mówi:

„Dobre nogi macie, dziadku, sprawnie chodzicie“... A ja mówię: niczego się chodzi... A on: „Wiele też zarabiacie na swoim chodzeniu?“... A ja powiadam: ze złotówkę bez dzień. „A chcecie—on powiada—zarabiać z purubla na dzień?“ Juści, żebym chciał—ja rzekę. „A to przystańcie do partyi“. A cóż ja w partyi zrobię?—pytam. „A będziecie—on mówi—chodzący po prozonemu, wypatrywać, gdzie są strażniki i kozaki, i donosić partyjnym, co siedzą w lesie. A czasem przyniesiecie jaki list, albo paczuszkę“... A jak me strażniki złapią i powieszają?—ja się pytam. — Zaś on: „A cóż to w niebie robi się dziura, jak jednego dziada powieszają?“... No i takim sposobem przystałem do partyi i już niejeden raz ostrzegłem ich...

— A wiecie wy, za co się partye biją?...—zapytał Świrski.

— Wim. Za to, żeby pańskie grunta były podzielone i żeby nie było fabrykantów, ino same robotniki i jeszcze, jak komu urwie rękę, żeby mu zapłacili, ile się patrzy.

Zbliżyli się do wsi. Kaleka zostawił Świrskiego w krzakach przydrożnych, a sam wyszedł na zwiady. W pół godziny Kazimierz usłyszał skrzywienie sanek i okrzyki: heta!... wišta!... a gdy podróżni zbliżyli się, poznał kalekę obok furmana na kozle, a w siedzeniu dojrzał rozpierającego się jegomościa w urzędowym płaszczu. Kaleka gwizdnął, sanki stanęły, a Świrski zbliżył się do nich, zapytując w duchu: co tu robi figura urzędowa?

— Hej!... kto tu od Zajązkowskiego?... — zawołał jegomość w płaszczu.

Kazimierz poznał głos, zbliżył się jeszcze bardziej i rzekł:

— Jeżeli się nie mylę, pan Vogiel?...

— A to pan Świrski?...—rzekł półgłosem jegomość i dodał ciszej: Nie Vogiel, tylko Altman...

— Więc już i nie Iwanow?...—uśmiechnął się Kazimierz.

— Mówili, że pan siedzisz u rodziców Linowskiego—rzekł kwaśnym tonem Altman. —Ten znowu przewodnik opowiada, że idziesz od Zajązkowskiego?...

— Byłem i tam i tam, a obecnie chcę się dostać do X.—odpowiedział Świrski.

— Siadajże pan—mówił z niechęcią mianujący się Altmanem.

Świrski usiadł do sanek, a furman zaciął konia. Altman zaczął ze Świrskim rozmawiać po francusku. Gniewał się, że Zajązkowski, napadłszy na pocztę, wypuścił z rąk kilkadziesiąt tysięcy rubli, i twierdził, że w oddziale niema ani jednej trzeźwej głowy. A najbardziej gorszyło go, że Świrski w takich czasach opuścił partyę.

— Wróc pan do nich—mówił—mianuję cię dowódcą na miejsce tego błazna Zajązkowskiego.

— Naprzód—odpowiedział Świrski—Zajązkowski jest bardzo dzielnym partyzantem, a byłby doskonałym żołnierzem, gdyby nie zbałamucono go łajdackimi teoryami. Dzisiaj jest bandytą, on i większa część jego podkomendnych.

— Cóż pan nazywasz łajdackimi teoryami?...—wybuchnął Altman.

— Kto urządza uczciwą rewolucję, ten mówi ludziom o wolności, zachęca ich do

walki o wolność, uczy, ażeby szanowali cudze osoby i własność—odpowiedział Świrski.—A tymczasem u nas zachęca się ludzi do wywłaszczeń, do grabieży cudzego mienia, do morderstw... Przeciw takim partyzantom musi wystąpić cały naród.

— Więc wróc pan do partyi, obejmij dowództwo i popraw tych ludzi zbałamuconych, jak mówisz.

— Ani myślę!...—zawołał Świrski. — Jeżeli w Rosyi przyłączy się wojsko do rewolucji, utworzę własny oddział z ludzi wybranych i będę się bił, jak żołnierz; tymczasem usuwam się od ruchu... Byłem w partyi ledwie parę dni, ale to, co widziałem, wystarczy mi na całe życie...

— Wygodną pan sobie rolę obrał—mówił, śmiejąc się, Altman.—Zachęcać ludzi do cnót apostołskich, a samemu unikać niebezpieczeństw...

Świrski aż podskoczył.

— Tak pan sądzisz?...—zawołał wściekły z gniewu.—No to wynoście się z sanek, albo daj dowód, że jesteś odważniejszy ode mnie!...

— Nie żartuj pan!...—odpowiedział Altman ciągle po francusku. — Naprzód ci dwaj chłopci zrozumieją, że się kłócimy, a następnie... narażasz mnie pan na schwytanie, bo za mną już pędzą strażnicy...

— W takim razie zostań pan—rzekł Świrski, nagle uspokojony, i już przez całą drogę nie odzywał się do Altmana, choć ten parę razy zaczepiał go.

Po północy zajechali do jakiegoś lasu i zatrzymali się przed chatą samotną. Altman kazał gospodarzowi zaprzężyć konia i odwieźć się do pobliskiej osady, a Świrski został na nocleg.



PLAC MARYACKI W KRAKOWIE
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

L. KWIATKOWSKI

Na pożegnanie Altman odezwał się drwiącym tonem:

— Masz pan temperamencik, ani słowa!... Wyrzucać ludzi z sanek, w nocy, na środku drogi... no... no!... Życzę panu równej energii wobec uzbrojonych, jakąś okazał nad bezbronnym.

— Pan nie masz broni?... — zapytał nieledwie przerażony Świrski.

— Ja nigdy nie włócę się z bronią... Zostawiam to rycerzom...—odparł Altman.

Świrski poczuł na twarzy piekące rumieńce.

— W takim razie... w takim razie — rzekł—niech mi pan przebaczy. Nigdy nie zachowałbym się tak—wobec bezbronnego... Gniewa się pan?...—mówił Kazimierz, wyciągając rękę, która mimowolnie drżała mu.

— Ja?... gniewać się?... — powtórzył Altman.—A może jeszcze mam pana wyzwąć na pojedynek?... Podobają mi się ten szlachcic!...

— Niegodnie pana obraziłem...—rzekł prawie ze łzami Świrski.

Altman mocno szarpnął go za rękę i zakończył:

— Mój panie, chciałbym mieć tyle milionów, ile razy wyrzucali mnie wprawdzie nie z sanek, ale za drzwi. Tu chodzi o sprawę, nie o jakieś głupie konwenanse. Dobranoc.

Sanki ruszyły, a Świrski został na drodze osłupiały. Vogiel-Iwanow-Altman przedstawił mu się całkiem w nowej postaci.

Od tej chwili obok serdecznej troski o Lisowskiego i Chrzanowskiego i niechęci do rewolucji, z której wyrastał najwstrętniejszy bandytyzm, w Kazimierzu urodziły się dwa nowe uczucia bardzo bolesne. Jednym było wspomnienie zniewagi, jaką wyrządził Altmanowi, drugim—przekonanie, że jednak są tacy, którzy wątpią o jego odwadze...

„Wygodną rolę obrał sobie pan—uniknąć niebezpieczeństw“... — powtarzał słowa

Altmana.—Gdyby ten człowiek był ze mną i we mnie, nie posądziłby mnie, że unikam niebezpieczeństw, ale tak... On naprawdę naraża się i jeszcze jeździ bez broni... Świrski gotów był umrzeć każdej chwili, tak mu się przynajmniej zdawało; ale pozbyć się rewolweru, jeździć bez żadnej broni, gdy się jest ściganym, na to nie potrafiłby się zdobyć, nie miał odwagi... Z jego brauningiem łączyło go nie tylko poczucie większego bezpieczeństwa, ale wprost jakiś przesąd. Umrzeć z bronią w rękę rzecz łatwa, ale umierać bez broni, ale nie móżdż postawić żadnego oporu, wydawało się Kazimierzowi czemś rozpaczliwym, niemożliwym.

Jeszcze sześć dni tułał się w odległości paru mil od miasta X., do którego nie mógł się dostać. Bywało tak, że, w którąkolwiek stronę szedł czy jechał, trafiał na oddziały

strażników, kozaków, piechoty albo dragoonów. Wszędzie stało, albo maszerowało wojsko, przeznaczone do ścigania oddziału Zajązkowskiego, z którym miejscowy generał-gubernator postanowił skończyć. Chłopi, Żydzi, oficyaliści wiejscy, mieszcianie drobnych osad, z którymi spotykał się Świrski, zgodnie opowiadali, że na Zajązkowskiego ze wszystkich stron idzie wojsko i że każdego, kto był w jego partyi, czeka szubienica bez sądu. Zajązkowski tyle rozbił kas, tyle urządził napadów, tylu zamordował ludzi, że już na żadne względy nie mógł rachować, on ani jego towarzyszel

W takiej chwili Kazimierz wybrał się do miasta X., niby do lwiej jaskini. Czuł, że niebezpieczeństwo otacza go ze wszystkich stron, i to mu pochlebiało, to osłabiało zarzut Altmana. Pewnego dnia, gdy był we wsi, w kwadrans po nim przyjechali kozacy. Przerażony gospodarz schował go pod stóg. Ledwie ukrył go tam, kozacy oświadczyli, że chcą kupić siana, i zaczęli stóg rozbiierać. Świrski, leżąc na ziemi, słyszał ich rozmowę, a nawet wyciągnął rękę i, przez sztabackie figle, dotknął buta jednego z kozaków. Szczęściem zaczepiony nie zwrócił uwagi na dotknięcie, a kupujący rozebrali tylko pół stogu i—Kazimierz ocalał.

Kiedy kozacy odjechali, gospodarz wyciągnął Świrskiego i blade z trwogi zapytał:

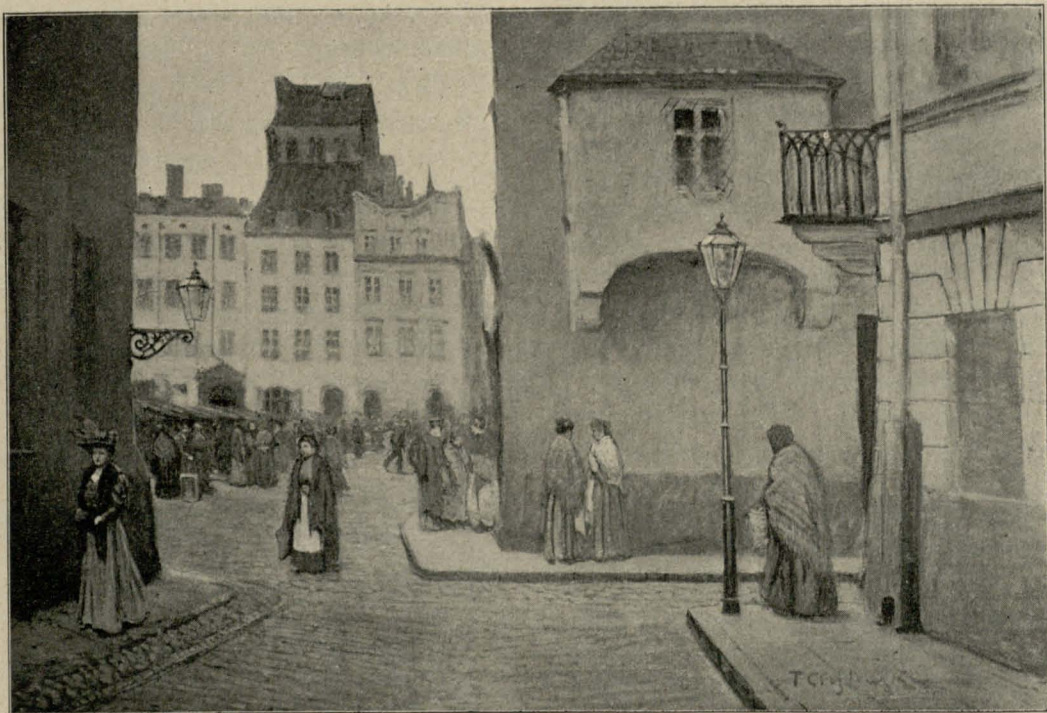
— To się pan musiał bać?... Chryste!...

— Wcale się nie bałem—odpowiedział ze śmiechem Kazimierz.—Ale o małym się nie udusił i, gdyby przyszło posiedzieć jeszcze z pół godziny, chyba wylazłbym...

— O dla Boga!... a cóżby się z nami stało?...—zawołał chłop.

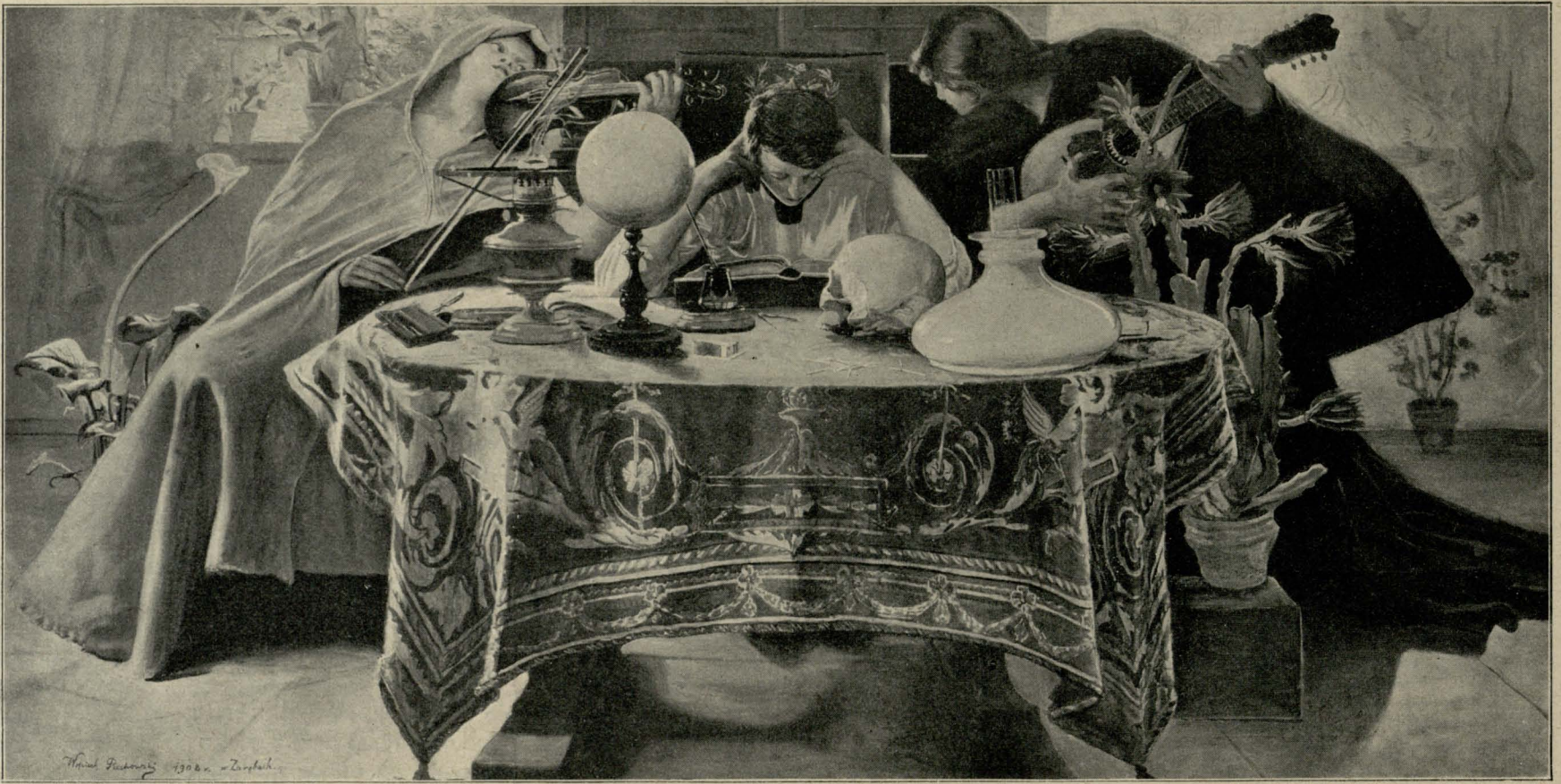
Wykrzyknik ten przypomniał Świrskiemu, że naraża nie tylko siebie, ale i pocziwców, którzy mu pomagają. Więc, choć zarzut Altmana bolał go, jak rozpalone żelazo, Kazimierz postanowił być ostrożnym.

W czasie noclegu spotkał się z jakimś uciekinierem z partyi Zajązkowskiego i do-



FRAGMENT STAREGO MIASTA
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

T. CIEŚLEWSKI



„MYŚLI“

Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

WOJCIECH PIECHOWSKI

wiedział się, że niema dnia, ażeby nie wymieniano strzałów z wojskiem. Dotychczas jednak Zajączkowski wykręcał się, pomimo wielkiego zimna, niedostatku, a najbardziej—zmęczenia.

Na ostatnim etapie, o parę wiorst od miasta X., na Świrskiego, jak piorun, spadła wiadomość, że w lasach około Żelaznych Hut odbyła się potyczka, w której zginął Zajączkowski z większą częścią swoich towarzyszy, a kilku złapano i, okutych w kajdany, przywieziono do X. Wiadomość oszłomiła Kazimierza. Czuł, że, gdyby nie wyjazd z partyi, on dzisiaj należałby do zabitych albo złapanych, i z najwyższą trwogą zapytywał: co się też stało z Lisowskim, Chrzanowskim, z poczciwym Litwinem i wymownym towarzyszem Janem?... Prędko żyje się podczas wojny!...

Na drugi dzień Świrski przyjechał do X. wielką żydowską furmanką, jako August Szulc, poszukujący zajęcia w gminie albo na folwarku. Stanął u jakiegoś Żyda - faktora, który znał wójtów, pisarzy gminnych i obywateli, a zarazem należał do partyi.

Po bliższem zapoznaniu się Świrski zapytał faktora:

— Czy prawda, że Zajączkowskiego rozbili?...

— Bandę jego rozbili, ale on sam podobno wymknął się. Za to przywieźli kilku młodych, bardzo pięknych panów...

W Świrskim serce zamarło.

— Czy nie wiecie nazwisk?... — spytał.

— Nie wiem. Ale ja tu przyślę takich, co będą wiedzieli.

— Pędzelek jest w mieście?... Może z nim mógłbym się zobaczyć? (DCN)

HANS SACHS:

RÓŻNE DZIECI EWY.

Gdy Bóg dał Ewie już niejedno dziecko,
Czy rozumiecie,
Chciał ją razu pewnego odwiedzić na świecie,
A więc też matka z konsolacyi swojej
Wybiera najpiękniejsze, myje, czesze, stroi
I zdobi w kwiecie,
By na nie patrzył laskawiej.

A inne dzieci, ubogie w urodę,
Stare i młode,
Między słomę i siano ukrywa w zagrodę;
W piec także cząstkę chowa swej gromadki,
Albowiem krwawi
Lęk serce matki,
Że, miast pozyskać nagrodę,
Na śmiech je tylko wystawi.

Gdy więc Ewa odwiedzin dostąpiła chwały,
Przyjął Boga dzieciątek pięknych szereg cały;
Przed nim się popisywały,
Jak je matka nauczyła...
Podobała się Panu ta gromadka miła,
I wszystkie je błogosławi.

Jednemu dał królestwo na ziemskim obszarze,
Drugiemu, co tuż stał w parze,
Księstwo; znów trzeci dostał hrabstwo w darze;
Czwartego mianem rycerza zaszczyca;
Piąty wziął godność szlachcica;
Szóstemu mieszczaninem każe
Zostać, w podziale stanów.

Ewa, słysząc, jak hojnie Boża łaska splywa,
Bieży, szczęśliwa,
I resztę swych dzieciątek z ukrycia dobywa—

I oto staje przed Panem
Plugawa zgraja, okryta łachmanem,
Brudna, płaczliwa,
Podobna do cyganów.
A Pan się pocznie śmiać i każde darzy:
Wieśniaków, rzemieślników czyni z nich, kramarzy,
Młynarzy i piekarzy,
Szewców, tkaczy, drwali,
Garbarzy i leśników, zdunów i kowali,
Rybaków i furmanów.

„Czemu, o Panie“—ze strachu błada
Ewa powiada—
„Twoje błogosławieństwo tak nierówno pada?
Ode mnie i od męża mojego wszak przecie
Pochodzi bez różnicy żadnej każde dziecko,
A więc wypada,
By każde równą część dostało?“
A Bóg odpowie: „Na to mam władzę,
Tak sobie radzę,
Każdy stan bowiem ludźmi obsadzę
I do każdego—przedni czy pośledni—
Czynię pomiędzy ludźmi wybór odpowiedni,
By w równowadze
Tworzyły całość zgodną, trwałą.“
Miarkujcie zatem z tej baśni,
Że stan każdy ma ludzi znajdować bez waśni...
Z niej też widzicie najjaśniej,
Jak Bóg przedziwnie rozkazuje
I jak kieruje
Mądrze, przezornie ziemią całą.

Przełożył z niemieckiego
WŁADYSŁAW NAWROCKI.



ŚWIĘCENIE

Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

WŁODZIMIERZ TETMAJER

WŁADYSŁAW RABSKI: **W OGNIU.**

Nie pora jeszcze pisać historię tej burzy, która w konwulsjach żywiołów przed kilku laty nowe zwiastowała nam życie. Jeszcześmy za blizcy przełomowej męki, jeszcze za blizcy rozczarowań, które, niby popiół, co dymi i w oczy gryzie, zostały na pogorzelsku. A przytem cały ten huragan rewolucyi rosyjskiej, która przeszła ponad ziemią polską i odzew u nas znalazła ponury, niósł z sobą nowe, nieznanne wiekom dawniejszym zjawiska. Staliśmy wobec takich form walki, takich rozkładów i hamulców życia, które jeszcze przed kilku laty najgenialniejsi prorocy rewolucyi mienili utopią. Staliśmy wobec tak nie zrozumiałych objawień psychy ludowej, tak zadziwiającego chaosu pojęć, tak zdumiewających kombinacji życia i zagadkowych obrazów tego dna społecznego, które odsłonił wicher rewolucyi, niby burza, wyrzucająca z rozdartych głębin oceanu niedostępne tajemnice morza, że dużo jeszcze czasu upłynie, zanim znajdzie się jakiś umysł genialny, który nie tylko zgromadzi wszystkie dokumenty epoki, lecz z perspektywy właściwej oceni ludzi i czyny, zmierzy idee i środki, oddzieli ogień nieśmiertelny od kopających ogarków, prawdę od fałszu, treść od dekoracji, zwierzę od człowieka. Dla dzieła, które odsłoni nam całą duszę rewolucyi, jeszcze nie wybiła godzina narodzin.

Ale, jeśli przyjdzie kiedyś badacz wielki

i szukać będzie w przeszłości rozwiązania wielkich zagadek, szukać analizy i syntezy tej walki, w której była i pieśń Prometeusza, i wycie wilków głodnych, i „szał rozumny“, i wrzask szalbierzów jarmarcznych, i rozpaczliwe szamotanie nienawiści, miłości, ślepoty, bezładu, spotka on na swojej drodze dziwną księgę, a raczej dwie małe książeczki, które mu w labiryncie dziejów ostatnich, powiedzą nieraz więcej, niż archiwalny dokument, niż „mędrca szkiełko i oko“. Mówię o Józefa Weysenhoffa „Dniach politycznych“.

Ni to historia, ni satyra, ni powieść, choć wszystkiego tam jest potrochu. To niby pamiętnik rewolucyi, ale w tym pamiętniku jest dusza poety. I lubo to wydawać się może paradoksem, śmiem twierdzić, że ona właśnie, ta intuicya, wrażliwość i plastyka artysty, jest ową błyskawicą, która kiedyś historykowi konstytucyi rosyjskiej, w jej odbiciu na ziemi naszej, rozświeci wielki szmat życia. Dla zwykłego zbieracza materiałów dziejowych będą „Dni polityczne“ Weysenhoffa może bez wartości, ale dla historyka-psychologa, dla historyka-analityka, dla historyka-twórcy znajdą się tam stronnice, znajdą się melodye, impresye, obrazy, w których duch momentu dziejowego stanie przy nim i nieść mu będzie słowo zwiastowania.

Czy pamiętacie pierwszą seryę „Dni politycznych“, ochrzczoną „Narodzinami dnia-

łącza“? Czy pamiętacie, jak do wiejskiego dworu Budzisa przybywają panowie Hyc i Kotulski, którzy wydali się zacnemu ziemianinowi, niby dwaj aniołowie, odwiedzający zagrodę Piasta, i przynoszą mu od wielkiej rady narodowo-demokratycznego stronnictwa nominację na delegata powiatowego? Była to świetna charakterystyka pierwszych okresów nowego życia i doskonały typ hreczkosieja, którego pług oderwano od gleby pszenicznej i kazano mu orać i siać na twardej ugorach polityki. Snuli się przed oczami ludzie, myśli i czyny, opromienione jakąś smutną ironią. Bez krwawej satyry, jeno z tą melancholią niemocy, jeno z tym żalonym uśmiechem, który, drwiąc z grzechu, płacze nad nieszczęściem.

Satyrze Weysenhoffa obcy jest zupełnie płomienny gniew Juwenala.

Zgrzyty jego w łzach są kąpane. Odpycha i miłuje, wini i rozgrzesza.

Bolesna świadomość niedoli narodowej, z której się rodzi jałowość myśli politycznej, niedołęstwo czynu, anormalność wszystkich stosunków życia publicznego, trzyma za rogi satyrów, chychocących w duszy artysty. A zresztą on kocha to Budziszowe plemię, z którym związany jest krwią i tradycją, i gotów mózgom przebaczyć ich małość przez cześć dla serca, w którym jest wielkość miłowania.

Gdy pierwsza serya „Dni politycznych“



PORTRET PREZESA K. HOROWITZ
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

ukazała się w druku, błąkały się tu i owdzie plotki brukowe o jadowym pamflecie na stronnictwo narodowo-demokratyczne. Mówiła tak nadczułość fanatyków tępych, dla których litera N. D. były rodzajem świętego „tabu“, patentem polskości i obywatelskości; mówiła o tem także bezkrytyczna sensacja, wyprawiająca orgie w tak zw. salonach politycznych Warszawy.

Nic fałszywszego! U Weysenhoffa są uśmiechy satyry, ale niema ani pogwizdów pamfletu, ani tej namiętności czarnowidza i polemisty, która w ciemnych tintach kąpie swoje obrazy i wykrzywia wszystko grymasem karykatury. Irytującym jest raczej chwilami obiektywizm autora, z którego wieje jakby chłód sztucznej, przemocą nakazanej sobie rezerwy, jakby wyrozumowane pragnienie sprawiedliwości nawet wobec tych, których się nie lubi.

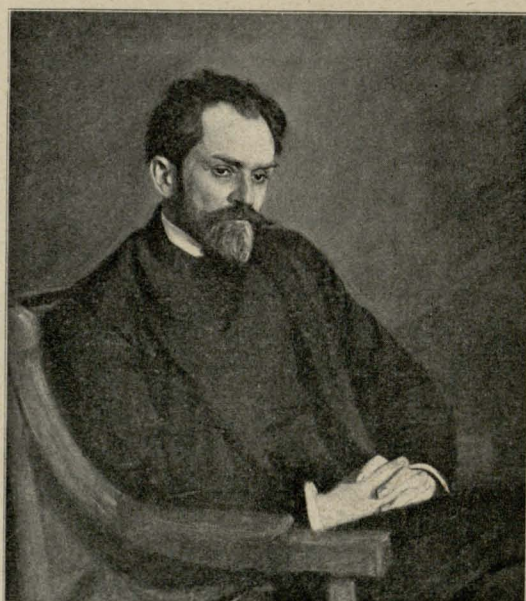
To jest znamiennej cechą wszelkiej polemiki w książkach Weysenhoffa, bez względu na to, czy ta polemika zwraca się przeciw demokracji narodowej, czy przeciw socjalizmowi, czy przeciw partii realistów, z którą dyskretnie sympatyzuje.

Jeżeli już mamy mówić o ideale partyjnym Weysenhoffa, to wypadłoby go istotnie poszukać na prawicy społeczeństwa, lubo powiada on przez usta jednego z swoich bohaterów, że chciałby wstąpić do „Związku rozumu narodowego“, który się dotychczas jeszcze nie narodził. Ale po cóż otulać się w mgły dyplomatyczne? Ten Jan Rokszycki, który tak misternie rozplata tkaninę frazesów i pustych ogólników pana Budzisa, który tak trzeźwo ocenia siły i środki społeczeństwa, który wśród rozpalonych do białości umysłów zachowuje zawsze równowagę myśli, przypomina całą swoją argumentacją styl polityczny realistów. Tylko, że jest jednym z najmędrszych polityków tego typu, oceniających z tą samą bystrością i niezależnością wady własnego, jak cudzego stronnictwa.

I powiem więcej jeszcze. Między pierwszą seryą „Dni politycznych“ p. t. „Narodzinny działacza“ a drugą p. t. „W ogniu“ nastąpiła jakby pewna bardzo dyskretna ewolu-

cja w poglądach politycznych Weysenhoffa. Zrozumiał on, że taktyka polityczna demokracji narodowej, której samozwańczość, łowienie dusz, teroryzm partyjny i hasło bezwzględnej solidarności ośmieszał w pierwszym tomie swej pracy, była ostatecznie potrzebną dla zbudowania silnej tamy narodowej przeciw mętnym falom anarchii i destrukcji kosmopolitycznej.

Nie jest to żadnym dowodem „odstępstwa“ lub „nawrócenia“, jak tu i owdzie już zaczęto plotkować. To tylko modyfikacja dawnych uprzedzeń wobec wymowy faktów i trzeźwa świadomość, że, gdy sile rewolucyjnej trzeba było przeciwstawić siłę narodową, uchylić należy, bez względu na różnice programów, czoła przed tymi, którzy tę siłę zdobyli, zorganizowali i umiejętnie użyli. Na rozrachunki partyjne przyjdzie pora później, a i wtedy nawet nic Weysenhoffa nie powstrzyma, pomimo całej jego zasadniczej sympatii dla „polityki realnej“, odegrać od czasu do czasu rolę przysłowiowego „enfant terrible“ w salonach swoich stronników, w których tak dziwnie splata się kultura polityczna jednostek z bezmyślnością i próżnością arystokratycznego zbiegowiska. Jest kilka takich stronnice w drugim tomie „Dni politycznych“, gdzie autor „Pana Podfilipskiego“ odsłania dusze tych ludzi, dla których



PORTRET ST. ŻEROMSKIEGO K. MORDASEWICZ
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.



PORTRET P. H. E. OKUŃ
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.



PORTRET bar. KRONENBERGA P. KRASNODĘBSKI
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

jedno jest tylko hasło wyborcze: „Il nous faut des noms“, jedna zasada polityczna, aby się nie narażać i cenić jedynie mędrców, znających wszystkie ścieżyny, wiodące do Dworu i do gabinetów ministerjalnych.

Większą jednak wartość od ustępów, zawierających „credo“ polityczne autora, mają dla mnie mistrzowskie charakterystyki życia warszawskiego w okresie pierwszych wyborczych zapasów.

Ze zdumiewającą łatwością przerzuca się Weysenhoff z ulicy, gdzie szumią sztandary narodowe, do knajpy socjalistycznej, z jałowych deliberacji o platformie partyjnej, konstytuancie lub nowym dzienniku na poddasze ciemne, gdzie dwoje działaczy socjalistycznych, Polak i Żydówka, kończą maskradę, aby w przebraniu robotniczym wtargnąć do fabryki, ogłosić strajk i zginąć pod bagnietami żołnierzy.

A czy to maluje epidemię partyjności, która zabijała do niedawna jeszcze wszelką indywidualność w jednostkach, zamieniając je w manekiny, pozbawione odwagi myślenia, czy charakteryzuje typy retorów politycznych, czy podrywa sobie z owego kultu dla radykalizmu, który w pewnych chwilach naszego życia stawał się synonimem zasługi i dojrzałości obywatelskiej, wszędzie znajduje właściwą plastykę wyrazu i wydobywa ton nastrojowy. Tak pisze, tak maluje tylko poeta. Jeden obraz, jeden symbol, jeden ornament pejzażowy lub rodzajowy starczy nie raz za długie stronnice rozumowań najsztudniejszych.

Ponad tem wszystkim zaś unosi się wielka, nie fałszowana niczem, przesycająca każde słowo tej książki tęsknota i miłość Polaka. Z swoimi Weysenhoff porozumie się zawsze, a przynajmniej nie traci nadziei, że chwila porozumienia nadejdzie. Nienawidzi tylko owych obcych nam żywiołów rewolucji, które frymarczyły krwią robotnika polskiego i w chaosie zwątpień piekielnych pograżyły myśl narodową. Czuje się gazdą u siebie i chce gazdować bez pomocy faktorów i arendarzów.

Jak sen bolesny, jest ten pamiętnik przełomu. Ale tak śni tylko świetny artysta i patriota rozumny.



ZARECZYNY

Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

M. MINKOWSKI

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

CHŁOPI. LATO.

49)

— Co się tam stało? Biją się, czy co?
 — Józek Wachnik wrócił z kancelaryi trochę pijany i pobił się ze swoją. Dawno się już babie należała porządna frycówka. Nie bój się, nic jej nie będzie.

— Ależ krzyczy, jakby ją ze skóry obdzierał.

— Zwyczajne babskie wrzaski, żeby ją prał kijem, toby była cicho! Odbije mu ona jutro za swoje, odbije! Chodź, kruszyno, bo kolacya przestygnie.

Ledwie tknął jadła i, czując się wielce zdrożony, zaraz położył się spać. Ale rano, jak tylko słońce zaświeciło, już był na nogach. Obleciał pole, przyniósł koniom koniczyzny, podrażnił księżę indory, jaże się rozbulgotały, przywitał pieski, że dziw łańcuchów nie pozrywały z radości, sypnął ziarna gołębiom, pomógł młodszemu wypędzać krowy, narąbał drzewa za Michała, spenetrował w sadzie dojrzewające małgorzatki, pofiglował ze żrebakiem i był wszędy i wszystko witał całującymi oczami, jak przyjaciół serdeczne, jak braty rodzone, nawet te malwy, osypane kwiatem, nawet te prosięta, grzejące się na słońcu, nawet pokrzywy i chwasty, przytające pod płotami, aż matka, biegająca za nim rozkochanymi spojrzeniami, szeptała z pobłażliwym uśmiechem:

— Waryacie jeden! waryacie!

A on snuł się i promieniał, jako ten dzień lipcowy, jasny, roześmiany, rozsloneczniony, wezbrany ciepłem i ogarniający wszystkich świat duszą miłującą, ale, skoro zadzwoniła sygnaturka, rzucił wszystko i poleciał do kościoła.

Proboszcz wyszedł z wotywą, poprzedał go Jasio w nowej komży, przybranej świeżo czerwonymi wstęgami, organy zagrały

przebieraną, hukliwą nutą, z chóru podniósł się grubachny głos, od którego zadrgały światła, kilkanaście osób przyklękło przed ołtarzem—i zaczęło się nabożeństwo.

Jasio, chociaż służył do mszy, a w przer-



JESIENIA

Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

T. ZIOMEK

wach żarliwie się modlił, jednak dostrzegł Jagusię, klęczącą nieco z boku, i co podniósł głowę, to widział jej modre, błyszczące oczy, wlepione w siebie, i jakiś przytajony uśmiech na rozchylonych, czerwonych wargach.

Zaraz po kościele zabrał go ksiądz na plebanię i zasadził do jakiegoś pisania, że dopiero po południu wyrwał się na wieś odwiedzać znajomków.

Najpierw zaszedł do Kłębów, gdyż siedzieli najbliżej, przez dróżkę jeno, w chałupie jednak nie zastał nikogo, a tylko w sieniach, wywartych na przestrzał, cosik zaruszało się w kącie, a jakiś głos zachrypiał:

— Dyć to ja, Jagata!—unięła się, rozkładając ręce ze zdumienia—Jezu, pan Jasio!

— Leżcie spokojnie. Chorzyście, co? —pytał troskliwie i, przysunawszy się pieńki, przysiadł blisko, ledwie rozpoznając jej twarz, wyschniętą, kiej ziemia.

— Jeno już Pańskiego miłosierdzia czekam—głos jej zabrzmiał uroczyście.

— Cóż to wam jest?

— A nic, śmierć se we mnie rośnie i na żniwo czeka. Kłęby me ano przytuliły, bym se u nich pomeła, to pacierz mówię i wyglądam cierpliwie onej godziny, kiej kostucha zapuka i powie: pódzi, dusza umęczona.

— Czemuż do izby was nie przeniosą?

— Hale, póki nie pora, to co ta bede im zabierała miejsce... i tak cielaka musiały ze sieni wyprowadzić. Ale mi przyobiecały, że na tę ostatnią moją godzinę to me przeniosą do izby, na łóżko, pod obrazy, i świecę mi zapalą... i księdza sprowadzą... a po-



DRUHNA P. KRASNOWOLSKI
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

tem we świąteczne szmaty me przyobieką i pochówek sprawią gospodarski. Juści, dałam na wszystko... a ludzie poczciwe sieroty może nie ukrzywdzą. Niedługo przeciek bede im tu zawalać, nie... i przy świadkach mi przyobiecały, przy świadkach.

— A nie przykrzy się wam samej? —głos mu nasiąkł żalnością i łzami.

— Całkiem mi dobrze, paniczku. A mało to świata dojrzę se przez drzwi? kto przejdzie drogą, kto gdziesik zagada, kto i zaj-



MADONNA V. HOFMANN
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

rzy, kto nawet rzuci to poczciwe słowo, że jakbym se po wsi wędrowała. A pójdą wszystkie do roboty, to kokoszki pogrzebią w śmieciach, gadzina pochrząka za ścianą, pieski zajrzą, wróble wpadną do sieni, słońce ździebko poświeci przed zachodem, a niekiedy wisus jaki ciepnie pecyną, i dzionek zleci, ani się człowiek spodzieje. A nocami też do mnie przychodzą, juści... a niejedne...

— Któż taki? kto? —zajrzał zblizka w jej otwarte, a jakby nie widzące oczy.

— A te moje, co się im już dawno pomarło, a te powinowate i znajome. Prawdę mówię, paniczku, przychodzą... A kiedyś—szepiała z uśmiechem nieopowiedzianego szczęścia i słodyczy — to przyszła do mnie Panienska i powieda cichusko: Leż se, Jagato, Pan Jezus cię wynagrodził!... Sama Częstochowska, zaraz poznałam... w koronie ano była, w płaszczu, a cała we złocie i koralach. Poglądziła me po głowie i rzekła: Nie bój się, sieroto, gospodynią se będziesz pierwszą na niebieskim dworze, panią se będziesz, dziedziczką... — I tak se gaworzyła starucha, kiej ta zasypiająca ptaszka, zaś Jasio, przychylony nad nią, słuchał i patrzył, kieby w jakąś nieodgadnioną głąb, kaj cosik tajnego bulgoce, i gada, i błyska, i coś takiego się dzieje, czego już zgoła człowieczy rozum nie rozbierze. Zrobiło mu się jakoś strasznie, ale nie poredził się oderwać od tej krużyny ludzkiej, od tego zetlałego źdźbła, co, drgając, kieby ten promień, gasnący w mroku, jeszcze se śnił o dniach nowego żywota. Pierwszy raz w życiu tak zblizka zajrzał w człowieczą, nieubłaganą dolę, to i nie dziwota, że przejął go luty strach, żalność ścisnęła duszę, lzy zatopiły oczy, współczująca litość przygięła go do ziemi, a gorąca, prośzalna modlitwa sama się już rwała z warg, roztrzęsionych płaczem.

Stara przecknęła się i, unosząc głowę, szepnęła w zachwycie:

— Janioł przenajświętszy! księżyczek mój serdeczny!

On zaś potem długo stał pod jakąś ścianą, grzejąc się w słońcu i ciesząc oczy

tym dniem jasnym i życiem, jakie wrzało dokoła.

Bo i cóż, że tam jakaś dusza człowiekowska skamlała w pazurach śmierci.

Słońce nie przestało świecić, szumiały zboża, białe chmury przepływały wysoko, wysoko, dzieci bawiły się po drogach, rumieniły się po sadach jabłka dojrzewające, w kuźni biły młoty, jaże rozlegało się na całą wieś, ktoś wóz rychtował, ktoś kosę nakuwał, sposobiąc się do żniw, pachniał chleb, świeżo upieczony, rajcowały kobiety, chusty suszyły się po płotach, ruszali się po polach i obejściach, jak co dnia było, jak zawdy, gmerał się rój ludzki wśród trosk i zabiegów, ani nawet myśląc, kto tam pierwszy stoczy się z brzegu.

Zaśby ta komu przyszło co z tego.

Więc i Jasio prędko się otrząsnął ze smutku i poszedł na wieś.

Posiedział czas jakiś przy Mateuszu, którego Stachową chałupę wyciągał już do zrębu; powstał nad stawem z Płoszkową, bielącą płótno; odwiedził chorą Józkę; nasłuchał się wyrzekań wójtowej; przyjrzał się w kuźni, jak kował stalil kosy i nacinał ostrza sierpów; zajrzał i na ogrody, kaj pracowało najwięcej dzieuch i kobiet, a wszędy wielce byli mu radzi, witając przyjacielsko i patrząc na niego z niemałą dumą: boć lipeckie to było dziecko, więc jakby w krewieństwie ze wszystkimi.

A dopiero na samym ostatku wstąpił do Dominikowej; stara siedziała przed domem i przedła wełnę, dziwił się temu, gdyż oczy miała przewiązane.

— Palcami zmacam i też wiem, jaka nitka, cienka czy ogubnia—tłómaczyła i, bardzo ucieszona z jego odwiedzin, zawołała na Jagusię, zajętą kajś w podwórzu.



WŁODYKI JAN SKOTNICKI
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

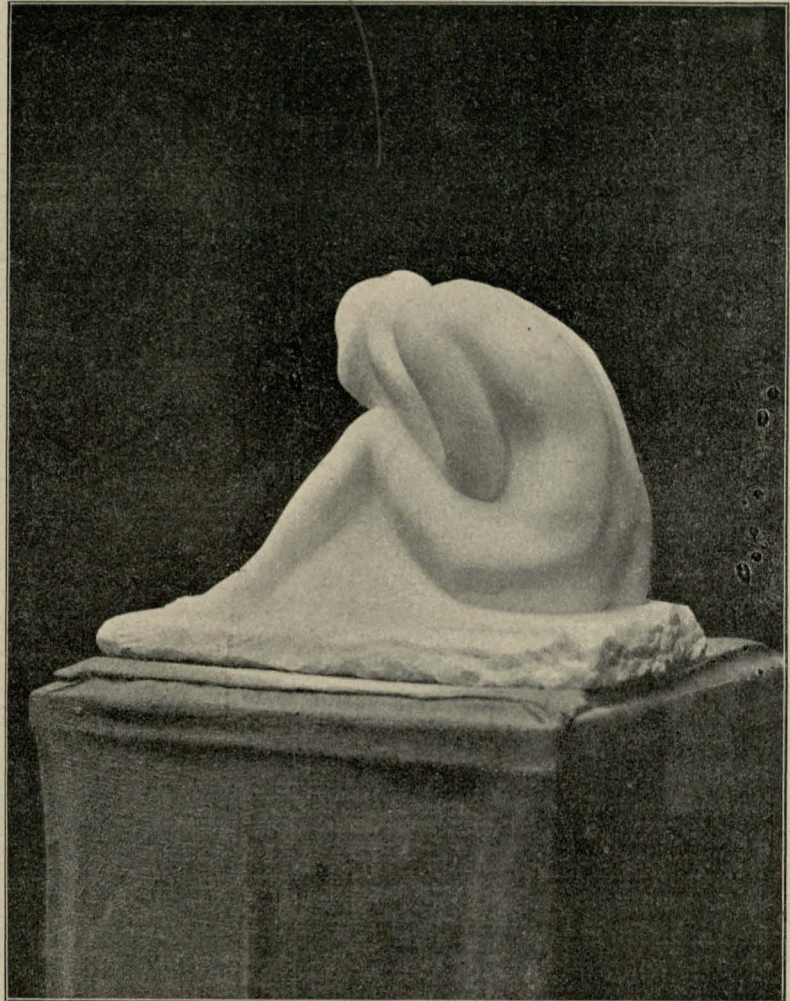
Przyleciała zaraz, nieco ino rozdiana, bo tylko we wełniaku i w koszuli, ale, dojrawszy Jasia, przysłoniła piersi rękami i, sczerwieniwszy się, kiej wiśnia, uciekła do chałupy.

— Jaguś, a wynieś no mleka, to może pan Jasio się przechłodzi!

Wyniesła pokrótce pełną doinkę i garnuszek, przybrana już w chusteczkę na głowie, lecz tak jakoś zesromana, że, kiej wzięła nalewać mleko, ręce jej latały i bładła, to



RZEŻBY



Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

KONSTANTY LASZCZKA

czerwieniła się naprzemian, nie śmiejąc podnieść oczów.

I cały czas nie odezwała się do niego ani słowa i dopiero, kiedy poszedł, odprowadziła go na drogę, patrząc za nim, póki jej z oczów nie zginął. Niewypowiedziane parło ją coś za nim i tak strasznie ponosiło, że, aby się nie dać pokusić, wpadła do sadu, chyciła się oburącz jakiegoś drzewa i, przytulając się do niego, stanęła bez tchu prawie i przytomności, nakryta, niby płaszczem, gałęziami, zwisłymi od jabłek; stała z przywarciemi powiekami, z uśmiechem, zatajonym w kątach warg, pełna szczęśliwości, a zarazem lęku, i pełna jakowychś łez słodkich i lubego dygotu, jak wtedy, kiedy patrzyła na niego przez okno, w tamtą noc wiośnianą.

Ale i Jasia jakby ciągnęło za nią, bo, chociaż bezwolnie, a zaglądał do nich niekiedy, na krótką chwilę i odchodził dziwnie rozradowany, a już co dnia widując ją w kościele, klęczała zawdy przez całą mszę, a tak wielce rozmodlona i jakby wniebowzięta, że spoglądał na nią ze słodkim wzruszeniem, opowiadając kiedyś o jej pobożności.

Matka tylko wzruszyła ramionami.

— Ma za co przepraszać Pana Boga, ma...

Jasio miał duszę czystą, kieby ten najbielszy kwiat, to i nie rozumiał przytyku, a że przychodziła do nich, że ją wszyscy w domu lubili, że widział, jaka była pobożna, to ani mu powstało w głowie jakie nie bądź posądzenie; zdziwił się tylko teraz, że od jego przyjazdu nie była jeszcze ani razu.

— Właśnie posłałam po nią, bo mam dużo do prasowania—odrzekła matka. (DCN)

STARE MURY.

Miasta nowoczesne, gwarne, rojne, błyskotliwe, jarzące się tysiącami płomieni, mają wszystko oprócz poezji. Nie mieszka ona w pałacach, nie zagląda tam bardziej do wyciągniętych pod sznur, po żołniersku szarych i bezindywidualnie smutnych domów. Niema jej w witrynach najwspanialszych sklepów, ani w mieszkaniach bogatych ludzi, gdzie przepych i blichtr łączą się w całość, pozbawioną smaku. Nawet w parkach miejskich, wśród wystrzyżonych drzew i misternych klombów, po starannie utrzymanych alejach stąpa proza, elegancka i wykwinna, ale pozbawiona mocy przemawiania do duszy.

Tylko tam, gdzie gwar milknie, gdzie fala życia nowoczesnego zatrzymuje się u progu starych dzielnic, okrytych patyną wieków, dusza, wrażliwa na piękno, odnajduje wiecznie żywe źródło poezji i czerpie z jego kamiennych, murszejących cembrowin trwałe, nieprzelotne wrażenia.

Stąd miasta, które mogą się poszczycić tem, że nie istnieją od wczoraj, że przeszłość rzeźbiła się w ich ulicach i kładła swoje pieczęcie na domach, pamiętających wieki ubiegłe, mają nieskończenie większy urok od miast, które patrzą dopiero w jutro, a nie posiadają pamiętek doby ubiegłej, lub zatraciły je lekkomyślnie w rujnującej pogoni za fałszywą kulturą dnia dzisiejszego.

Wandalskie hasła drugiej połowy wieku XIX, przesiąknięte nawskroś materjalizmem, przekładającym świst pary, furkot transmisji i dym kominów fabrycznych ponad cześć dla zabytków — nigdzie nie sprzyjały opiece nad tem, co godne było utrwalenia. Tandeta i pospolita „praktyczność“ wielmożyły się i rozpierały dumnie tam, gdzie przeszłość powinna była królować w ciszy i niezamąconym spokoju.

Niema też w Europie miasta, któreby w tym okresie nie poniosło jakiejś straty w swoich dzielnicach starych. Wszędzie jednak ginęły rzeczy

mniej cenne, a pozostawały cenniejsze, i w ten sposób Bruksella, Bruges, Norymberga, Kraków, Gdańsk zachowały tyle poezji w swoich murach i doniosły ją w relikwiarzach swoich pamiętek do chwili, kiedy zmieniony duch czasu zwrócił się ku niej z miłością.

Inaczej było w jednej tylko Warszawie, gdzie warunki polityczne w połączeniu z materjalizmem epoki, wydały całą dzielnicę staromiejską w ręce niepowołanych „konserwatorów“, z przedziwną wytrwałością pracujących nad niszczeniem wszelkich śladów przeszłości, tulącej się do murów, pamiętających wspaniałe chwile życia przedwiekowego.

Trwonienie bogatej puścizny odbywa się dotąd jeszcze, bowiem jedyna instytucja, która postawiła sobie za cel roztoczenie opieki nad starą Warszawą, narodziła się za ledwie i nie ma środków na *rekonstrukcję*, a tylko drogą rekonstrukcji wielu budynków można przywrócić świetność staremu miastu, którego piękny Rynek, oczekujący od stu lat na pomnik Dekerta, jest tylko brudnym placem targowym...

Nie mówmy jednak o rzeczach, które wywołują smutek. Cieszymy się raczej, że nadchodzi i u nas chwila ocknienia, chwila obudzenia się miłości ku starym murom.

Siew Sobieszczańskiego i Wejnerta, Gomulickiego i Or-Ota, Korotyńskiego i Kraushara nie poszedł na marne. Coraz częściej odzywają się głosy, wołające o pieczę dla pamiętek, o należytą ochronę dla zabytków.

Pod prasę idzie słynny „Gościniec“ Jarzemskiego, najstarszy ze znanych opisów Warszawy; komisja architektoniczna T. O. N. Z. P. obraduje nad środkami zapobieżenia barbarzyńskim „restauracyom“ kamienic staromiejskich, a Towarzystwo miłośników fotografii przystępuje do pracy nad zebraniem klisz, odtwarzających wszystko, co ma jakąkolwiek wartość artystyczną lub archeologiczną. Krzepmy się więc nadzieją, że to początek nowej ery w życiu starej Warszawy.

Z. D.

NA GWIAZDKĘ.

II.

Z innych wydawnictw gwiazdkowych firmy Gebethnera i Wolffa zasługuje przede wszystkim na uwagę piękne dziełko autora amerykańskiego, *J. G. Goulda*, p. t. „*Dzieci matki przyrody*”, pogadanki z życia zwierząt i roślin” (cena kart. rub. 1).

Gould łączy w sobie dwie dość rzadko spotykane współzależne cechy: wielką ścisłość naukową i piękną szatę literacką. Bo nie dość, że Gould zaznajamia młodych czytelników z niezmiernie ciekawymi zjawiskami przyrody, otwiera przed ich oczami nowy świat, pełen cudów i czarów baśniowych, a mimo to rzetelnie prawdziwych, przez naukę sprawdzonych, ale czyni to w sposób tak niezmiernie zajmujący, jakby w samej rzeczy powieść fantastyczną tworzył, nie zaś rzecz naukową. Tyle w tym wdzięku i powabu, tyle prawdziwie artystycznej obrazowości, że książka ta niezawodnie stanowić będzie ulubioną lekturę, do której mali czytelnicy będą powracać niejednokrotnie. Gould jest nie tylko uczone, ale i przyjacielem młodzieży, bo tyle wlał w swój utwór serdecznego uczucia, i nie tylko przyjacielem młodzieży, ale i utalentowanym poetą, umiejącym patrzeć na przyrodę nie analitycznym okiem badacza, ze „szkiełkiem mędrca” w ręku, ale i z punktu widzenia „uczucia i wiary”, t. j. syntezy filozoficzno-poetyckiej...

Są rzeczy, które się nigdy nie starzeją: arcydzieła literatury wszechświatowej. Są utwory dla dzieci i młodzieży, które zawsze, w każdym pokoleniu, znajdują swoich czytelników. Ojciec bierze taką książkę do ręki z rozrzewnieniem: „mój Boże! jak to już dawno! choinka... i barwne książeczki pod drzewkiem!” A ileż godzin przypomina się, przepędzonych w krainie marzeń i zachwytów, ile silnych a wzniosłych wzruszeń, ile przyspieszonych uderzeń serca. I w myśl tych tradycji wiośnianych książka przechodzi z ojca na syna, ciągle nowa, choć taka stara.

Któż nie zna np. „*Przypadków Robinsona Kruzoego*”, w wyborowej przeróbce niezapomnianego *Wł. L. Anczyca* (cena kart. rub. 1, w opr. rub. 1.30)?

Nie przewidywał zapewne Daniel De Foe, który nie dla dzieci bynajmniej, na tle przygód dzielnego marynarza, Aleksandra Selkirka, opowieść swą spisał, że znajdzie ona tak wielką poczytność na obu półkulach—i to u młodzieży. Dziś dziełko to, zastosowane wybornie do pojęć młodocianych, ukazuje się u nas już w dziewiątym wydaniu; a dodać należy, że Robinson jest nie tylko fantazją podróżniczą, ale i dziełem wysoce pouczającym, żywym, doskonałym wcieleniem angielskiego *self-helpu*, samopomocy, owej cnoty narodowej, której brak tak dotkliwie odczuwać nam się daje.

Kto zapalał się w czasach swego dzieciństwa „sielskiego” i „anielskiego” do prac i czynów Kruzoego, kto radował się i płakał z nieśmiertelnym Piętaszkiem, ten znać musiał i „*Robinsona szwajcarskiego*” *J. Stahla* (cena kart. rub. 1, w opr. rub. 1.30), jednego z licznych potomków pomysłu i ducha De Foego. Autorem tego dziełka jest pisarz niemiecki, Jan Rudolf Wyss, przekładu zaś polskiego z przeróbki *J. Stahla* dokonał w swoim czasie wielce zasłużony w naszej literaturze popularnej Jan Chęciński, autor „*Dnia grzecznego Władzia*”. Niniejsze, piąte wydanie przygotował do druku, poprawił i uzupełnił wieloma przypisami naukowymi p. S. Barszczewski, wzniosłszy dziełko tym sposobem do poziomu dzisiejszej nauki. „*Robinson szwajcarski*” szczęśliwszy jest od swego imiennika angielskiego: dostał się na bezludną wyspę wraz z całą rodziną, żoną i dziećmi, nie doznaje więc smutku samotności. Ale ostateczne wskazania etyczno-życiowe obu powieści są takie same: obaj rozbitkowie sami sobie wszystko zawdzięczają, ucząc swymi losami, jak nigdy nie należy opuszczać rąk bezwładnie, nie oddawać się biernie na igraszkę fałom losu, lecz siłą woli i wytrwałości starać się zapanować nad przeciwnościami fortuny, groźne potęgi przyrody zmusić do służenia sobie. Obie powieści czytają się z jednakowym zajęciem i—jednakowym pożytkiem, obie wreszcie rozwijają przed oczyma czytelnika całe bogactwo krajobrazów przyrody egzotycznej.

Zapalonym „podróżnikiem”, przekładającym nade wszystko obrazy walk „białych” z „czerwonoskórymi” i „czarnymi Murzynami”, niesiemy wieść radosną. Oto rozpoczęło się nowe wydanie całego zbioru powieści *Juliusza Verne'a*.

Verne i Mayne-Reid—to najlubiejsi pisarze dla młodzieży. Cokolwiekbyśmy, z punktu widzenia pedagogii nowoczesnej, mogli powiedzieć o powieściach podróżniczych, scenach mordów i okrucieństw, zdzierania skalpów i wyrzynania całych wiosek indyjskich, wiele jeszcze wody w Amazonce, Gangesie, Kongo i innych rzekach egzotycznych upłynie, zanim nad utworami tego rodzaju nauka o wychowaniu wyrzeknie swoje *anathema*. A niewątpliwie, nikt nie umie tak zaciekawiać, tak przykuwać uwagi i rozpałać wyobraźnię, jak właśnie Verne—w większym stopniu, i Mayne-Reid—w mniejszym.

Oto leży przed nami kilka tomików znakomitego autora „*Hectora Servadaca*”, w kolorowych, zdobnych w podniecającą ciekawość rysunki okładek. Jest



DZIEWCZYŃKA Z. ROZWADOWSKI
Wystawa doroczna w Salonie T. Z. S. P.

to część zaledwie podjętego przez firmę Gebethnera i Wolffa wydawnictwa, tomów sześć, a w nich następujące utwory: „*Podróż naokoło świata w 80 dniach*” (cena kop. 75, w kart. kop. 90), „*Piętnastoletni kapitan*” (cena rub. 1.50, kart. rub. 1.80), „*Pięcioletni balonem nad Afryką*” (cena kop. 75, kart. kop. 90), „*Czarne Indyje*” (cena kop. 75, kart. kop. 90), „*Gwiazda Południa*” (cena kop. 75, kart. kop. 90). Dopełnią wydawnictwa jeszcze cztery tomy, a w nich powieści następujące: „*500 milionów Bęguny*”, „*Przygody na okręcie Chancellor*”, „*Naokoło księżycy*”, „*Pustynie lodowe*”. Dodać należy, że taż firma w ubiegłym sezonie wydała osobno, w ponownej edycji, jeden z najcenniejszych utworów Verne'a, „*Wyspę tajemniczą*”.

Nie mamy potrzeby rozwodzić się nad temi dziełkami: są one zbyt znane szerszemu ogółowi, by wymagały przypomnienia.

Z innych powieści „egzotycznych” dla młodzieży przypomniano nam w bieżącym sezonie, w czwartym już wydaniu „*Młodego wygnança, przygody wśród puszczy i stepów amerykańskich*” (cena kart. rub. 1.30, opr. rub. 1.50). Autorem oryginału niemieckiego jest R. Roth, przeróbki polskiej—znana niegdyś, a dziś, niestety! nielusznie odchodząca nieco w zapomnienie popularyzatorka wiedzy, *M. J. Zaleska*; ona to w swoim czasie przyswoiła naszej literaturze znakomity pierwowzór powieści amerykańskich, „*Mieszkańca puszczy*” Fenimore'a Coopera. Niniejsze opowiadanie niemniej jest od tamtego staranne i niemniej zajmujące.

A teraz—książeczki dla młodszej dlatwy. Przedewszystkiem—jedna z tych książek, które, jak powie-

dzieliśmy na czele niniejszej pogadanki, nigdy się nie starzeją. To „*Baśnie dla dzieci i młodzieży*” *braci Grimm*, na całej kuli ziemskiej zaczytywane, a i u nas też popularne, bo już ukazujące się w trzecim wydaniu, znacznie od poprzednich odmiennem, bo nanowo opracowanem, spolszczonem, zastosowanem umiejętnie do kręgu pojęć dziecka polskiego (cena kart. rub. 1). „*Baśnie*” te nie tylko kształcą wyobraźnię, przenosząc duszę młodego czytelnika w zaświaty, tak dalekie od szarzyzny dnia codziennego, ale i charakter, bo na dnie każdego z tych utworów fantastycznych spoczywa zdrowe ziarno dążności etycznych.

Za nową niemal publikacją można uważać piękną książeczkę z powiastkami *Władysława Bełzy* p. t. „*Ołowiany żołnierz i inne powiastki dla młodego wieku*” (cena kop. 80); po raz pierwszy bowiem wyszła ona przed 25 laty, wówczas nosiła tytuł „*O zmroku*”, nie miała debitu w granicach Królestwa Polskiego, autor zaś ukrywał się pod pseudonimem *Władysława Piasta*. Dziś—Bełza wystąpił z otwartą przyłbicą, a książeczka, na którą składają się powiastki krótkie, łatwe, o przejrzystej treści i układzie, a przytem rozświetlone blaskiem szczerzej uczuciowości, narodowej i chrześcijańskiej, przywrócił tytuł, odpowiedniejszy jej treści. Zyczymy jej takiej popularności, jakiej doczekały się wierszyki tegoż autora, np. słynny, przez tysiące dzieci polskich powtarzany „*Katechizm dziecka polskiego*”.

Wznowieniem również, ale nie tak odległej przeszłości jest dziełko p. *Maryi Weryho* „*W zimie, książeczka dla małych dzieci*” (cena kart. kop. 80). Autorka ma już wśród dzieci naszych ustaloną popularność za swoje liczne książeczki z powiastkami, do których czerpie przedmioty z otaczającej nas przyrody, zwłaszcza z życia zwierząt. I z niniejszego dziełka czytelnicy dowiedzą się ciekawych i pouczających szczegółów o zwierzętach naszych pól, łąk i lasów, o kuropatwie, sroce, dzięciole, sójce, wronie, wróblu, cietrzewiu, głuszczu, lisie, zającu, szczygiełku i t. d. Tyle ślicznych historyjek, przytem bogato ilustrowanych umiejętnym ołówkiem p. Stanisława Sawiczewskiego.

Na zakończenie niniejszej pogadanki—kilka słów o dwu dziełkach, może nie gwiazdkowych, ale dla młodocianego wieku przeznaczonych.

Jedno z nich to *J. Warnkówny* i *Z. Jałohkowskiej* „*W ogródku dziecięcym*”, zbiór zabaw, marszów i piosenek na jeden głos z towarzyszeniem fortepianu”, w układzie *W. Zapolskiej* (część I i II, cena kart. po kop. 80). Nie będziemy stwierdzali tu, po raz nie wiem już który, jak wielkie ma znaczenie wychowawcze kształcenie estetyczne, a raczej kształcenie zmysłów; jakże bowiem wielu jest pomiędzy nami takich, którzy patrzeć i słuchać nie umieją!

Wobec tego nauka modelowania i rysunków, a także śpiewu chóralnego i muzyki staje się częścią niezbędną wychowania ogólnego. Oczywiście, wykład tych „talentów”, jak dawniej mawiano, musi być oparty na rozumnych podstawach, zdobytych przez nowoczesną wiedzę: psychologię i pedagogikę.

Co się tyczy śpiewu, obfity i umiejętnie zebrany materiał podaje zbiorek, wymieniony powyżej, w dwóch seryach; ułożyły go dwie, znane w świecie pedagogicznym autorki, przeplatając piosenki gramii towarzyskimi z towarzyszeniem śpiewu. Melodye dobrały łatwe, czerpiąc je w znacznej mierze z motywów ludowych.

Drugim dziełkiem, któremu należy się tutaj wzmianka, jest *Zygmunta Przybylskiego* „*Teatr amatorski dla dzieci i młodzieży*” (cena rub. 1, kart. rub. 1.30). Mamy tu zebranych dwanaście komedijek jednoaktowych popularnego autora „*Wicka i Wacka*”, a wszystkie łatwe, nie wymagające zbyt złożonych dekoracji i akcesoriów, ani też scenariusza, mogą więc być bez trudu przez młodocianych amatorów odegrane.

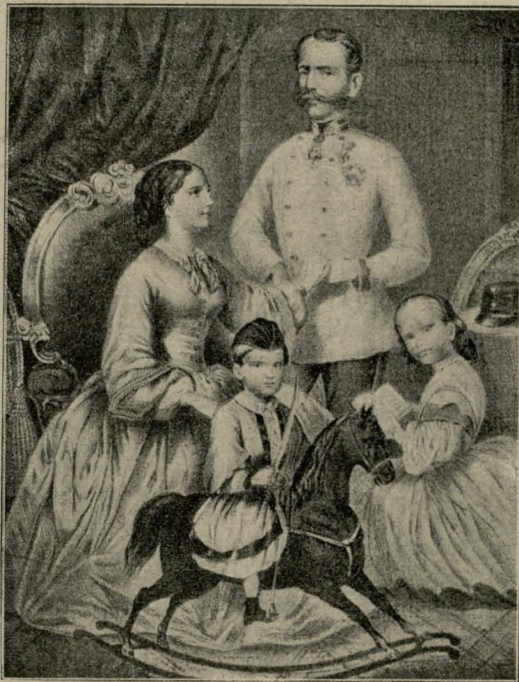
Mamy tu więc dążność do zaspokojenia jesczeczce jednej potrzeby młodego pokolenia: szlachetnej rozrywki o charakterze literackim i estetycznym, by w ten sposób kształcić charakter i wyobraźnię.

HENRYK GALLE.

Cesarz Franciszek Józef I.

Dnia 2 b. m. Austria obchodziła niezwykłą w dziejach uroczystość sześćdziesięcioletniego jubileuszu panowania cesarza Franciszka Józefa I.

Sześćdziesiąt lat na tronie takim, jak austriacki, sześćdziesiąt lat życia, któremu żaden ból, żaden smutek ludzki nie był oszczędzony, i po tych sześćdziesięciu latach, pod tym niezmiernym ogromem odpowiedzialności jeszcze tyle rzeźkości ducha i ciała, jeszcze



Cesarz Franciszek Józef z rodziną.

tyle jasności umysłu, ile jej w dniach tych uroczystych okazywał cesarz Franciszek Józef I, to istotnie zjawisko niebywałe.

Jako młodzieniec ośmastoletni wstępując na tron po stryju swoim Franciszku, zastał olbrzymie to niegdyś państwo, w którym nie zachodziło słońce, rozbite, upokorzone, zachwiane, po pierwszej zwycięskiej próbie przekształcenia się z biurokratyczno-policyjnej despotyi w państwo nowożytne, zbudowane na zasadach, któreby odpowiadały ideałom, ożywiającym narody środkowej Europy w owym czasie ich wiosny.

Na ostateczne uznanie tych ideałów nie zdecydowano się łatwo i bez oporu w sferach rządzących wówczas Austrią. Działał tu również dobrze egoizm zagrozonych w swej potęgze dotąd czynników samowładczych, jak też i troska o przyszłość tego konglomeratu narodów i wyznań, który nazywa się Austrią.

Kiedy pod Sadową runął ostatecznie system despotyzmu biurokracji i kiedy nawet dla najzacieklejszych konserwatystów stało się jasnym, że bez szerokich i należycie zagwarantowanych praw obywatelskich i narodowych Austria istnieć nie może, wówczas cesarz Franciszek Józef z właściwą sobie siłą woli i postanowienia przeszedł od razu na stanowisko monarchy konstytucyjnego i tak na tem stanowisku trwa wiernie, że dzisiaj jest obok króla angielskiego wzorem tego typu suwerena.

Dzięki tej stanowczości monarchy Austria zakończyła wreszcie w r. 1867 swój ciężki proces przestarczenia się ze średniowiecznej monarchii urzędniczo-wojennej w państwo nowożytne, gdzie wprawdzie wiele jest jeszcze rzeczy bardzo dalekich do ideału, ale gdzie zawarte są perspektywy wszelkiej stopniowej ewolucji.

To też ludy Austrii pamiętają dobrze, co są winne Franciszkowi Józefowi.

Pod panowaniem też jego obudziły się do życia narody, które dotąd spały snem głębokim. Obudziły się — i dzisiaj z żarliwością nowicjuszków i neofitów starają się pracować przy wspólnym warsztacie kultury wszechludzkiej i postępu. Wprawdzie praca ta nie obyła się bez hałasu i niesnasek, wprawdzie wieczny spór o prawa narodowe nieraz już wytwarzał w Austrii sytuacje w najwyższym stopniu krytyczne, ale wtedy właśnie

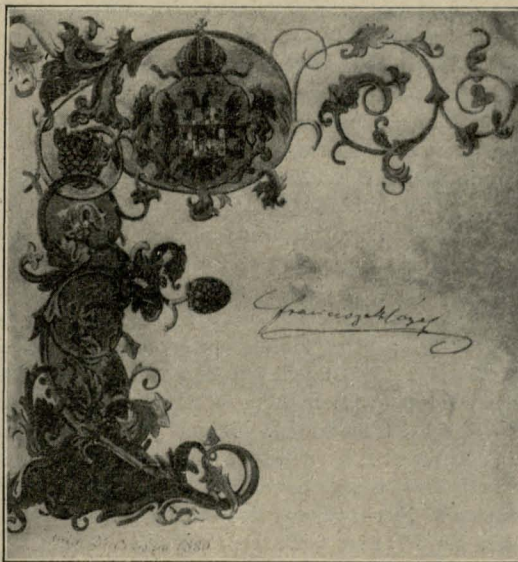
wpływ monarchy stawał się najwidoczniejszym i najsilniejszym, wyprowadzając nawet państwową z wiru namiętności i najsprzecznějších dążeń, który, zdawało się, już, już ją pochłonie.

Kiedy po długich dziesięcioleciach nieufności i niechęci wzajemnej udało się ostatecznie usunąć przeszkody i zasłony, które pomiędzy narodem polskim a cesarzem stwarzali rozmyślnie centraliści wiedeńscy, porozumienie trwałe i ufność wzajemna powstały niemal od razu i w zupełności. Obie strony uwiaryły sobie, a ciężka próba czterdziestu lat życia wzmocniła tylko tę wiarę.

Swoim rozumem umożliwił cesarz Franciszek Józef narodowi polskiemu złożenie niezbitego dowodu, że potrafi być rozumny i umiarkowanym w żądaniach i że, jako strona, zawierająca umowę, przedstawia wszelkie gwarancje uczciwości i szczeroci.

Spółeczeństwo polskie w Galicji, zyskawszy możliwość swobodnego rozwoju i pracy dla swoich potrzeb, tem szczerzej i tem serdeczniej przywiązało się do tej jedynej dynastyi, która zdecydowała się uwiaryć w szlachetność i rycerskość tego jedyne go narodu, z którego nigdy nie wyszedł królóbójca.

Szczyt popularności i serdeczności powszechnej zdobył jednak Franciszek Józef I w ostatnich latach swego długiego panowania, kiedy to swoim wpływem i autorytetem wymógł na klasie rządzącej to, że zgodziła się na powszechne, równe, tajne i bezpośrednie głosowanie do parlamentu.



Karta tytułowa księgi pamiątkowej z podpisem polskim cesarza Franciszka.



Pomnik jubileuszowy Franciszka Józefa we Lwowie.

Dla rozwoju ludów Austrii, dla ideału demokratyzacji państwa była to zdobycz olbrzymia, którą jedynie i wyłącznie ma Austria do zawdzięczenia swemu sędziwemu cesarzowi. Ten dziedzic najstarszej korony w Europie, ten przedstawiciel najstarszego i najmłodszego rodu, który, jak sam powiada, jedynie odpowiednio dla siebie towarzystwo znaleźć może w podziemiach kościoła kapucynów w Wiedniu, ten wielki pan i dynasta, okazał się takim postępowcem, tak śmiałym nowatorem, że nie zawahał się stanąć na czele ruchu



Cesarz Franciszek Józef w roku 1850.

szerokich mas ludowych, pragnących dla siebie równouprawnienia politycznego.

W roku zeszłym otwierając pierwszy stworzony przez siebie prawdziwie ludowy parlament, sędziwy monarcha głosem równym i wyraźnym odczytywał niejako swój testament polityczny i socyalny, wzywając narody do zgody, nakreślił przed nimi plan takich reform społecznych, na jakie nie zdobyło się dotąd żadne jeszcze państwo europejskie. Projekt ustawy o powszechnem ubezpieczeniu na starość bez względu na rodzaj zajęcia, który rząd już parlamentowi przedłożył, jest wykonaniem części tylko tego planu.

Lojalność swoją wobec narodów cesarz posuwał aż do osobistych uprzejmości, które w specjalnych warunkach nabierały zawsze znaczenia doniosłych aktów politycznych. W licznych swoich podróżach po Galicji cesarz nigdy nie omieszkiał wpleść do przemówienia swego, którem dziękował za przyjęcie, jakiegoś zdania polskiego. Tu reprodukowujemy kartę pergaminową z księgi pamiątkowej jednej z najpierwszych bibliotek galicyjskich, na której cesarz Franciszek Józef podpisał się po polsku.

Rozumie się samo przez się, że o stosunkach politycznych nie decydują jednostki, chociażby nawet monarche, że w powstawaniu i znikaniu danych stosunków decyduje racya stanu. Ale ostatecznie w państwie monarchicznym wszystko zależy od tego, czy i kiedy monarcha tę rację stanu uzna i oceni. Otóż ze wszystkiego, cokolwiek chwalebne go Franciszku Józefie można powiedzieć, jest to, że zawsze był jednym z pierwszych w swojej sferze, który ducha odczuwał i zmieniającą się kolejno rację stanu rozumiał jasno i pojmował. U monarchy jest to zasługa największa. K. S.

ZŁOTE LISTKI.

Gdyby ból każdy, w ludzkiej piersi skryty,
Jedną wycisnął łzę litości z oczu,
A łzy gwiazdami załśniły w przezroczu,
To stałaby się błękitów opona,
Jako kopuła lita z gwiazd sklepią,
Choć w nieskończoność ciągną się błękity.

K. Tetmajer: „Preludjum”.



MADAME BUTTERFLY.

Zabiła się—a szkoda!
Była piękna i młoda...
Stara ballada.

Melancholijno-melodramatyczny nastrój, zapowiadający na deser mocne szarpnięcie przesyconych nerwów, jak narkotykiem jakimś egzotycznym; grubo spopularyzowane, przepuszczone przez angielską nowelę, reminiscencye subtelnych mirażów Lotti'ego; wreszcie muzyka... modna—oto wszystkie sekrety „powodzenia” najświeższej, dwa lata dopiero liczącej, opery Pucciniego.

Górami dziś neo-włoskie weryzmy! W samej paryskiej Opéra-Comique aż cztery dziś opery neo-włoskie na repertuarze. Mascagni, Giordano, Leoncavallo, Cilea, Puccini wprowadzili w modę ów *genre*... Wagnera na użytek codzienny, i słychać zewsząd, że świetne robią interesy. Puccini, w dodatku znający na wylot nie tylko wszystkie arkana sztuki scenicznej, lecz i wszystkie nowoczesne upodobania publiczności, nie tknie innego libretta, jak ultra-dramatycznego, skondensowanego, stanowiącego samo w sobie „atrakcję”. Przypomnijmy tylko sobie „Manon-Lescaut”, „Cygany”, „La Tosca”.

Porucznik floty amerykańskiej, mr. Pinkerton, bawiąc w Nagasaki, upodobał sobie prześlizgniutką gejsz Cio-Cio-San (wymawia się: Czo-Czo-San), przezwiał ją „Madame Chrysantheme”, wziął z nią ot tak sobie „na żarty” ślub; przeżył z nią precudowne miesiące w bambusowym domku pod okwieconymi drzewami nad seledynowo-lazurowym morzem o złocistych połyskach. Potem odjechał i nie wrócił. Długo powrotu „męża” oczekiwała nieszczęsna gejsza o oczach gazeli, zasnutych mgłą łez—i nie doczekała go—nigdy. Co się z nią stało? Niech odpowiedzą kwiaty wisien bladoróżowe, osypujące się bez szelestu wokół domku gejszy, wokół kolebki szczęścia jej i grobu...

Ale Pucciniemu nie wystarczyło rozlewne, całe w półtonach, w czystym stylu Lotti'ego *diminuendo con amarezza*.

Jakiś Anglik z pod ciemnej gwiazdy przezwiał mu Chryzantemę—*madame Butterfly* (czytaj: Batterflaj), to znaczy... motylem (!), i kazał jej zadawać sobie śmierć w równej mierze egzotyczną, jak ohydłą—hara-kiri. Dwaj usłużni rodacy sfabrykowali z tego wariantu doskonałe libretto—no, i Puccini jął nerwowo dramatycznym wysokiej próby zsywać w efektną całość, znakomicie orkiestrowaną, wszystkie swoje krótko-oddechowe frazesy muzyczne z „Manon”, „Toski”, „Bohème’y”. Zaprawił suto równoległymi kwintami, (specjalność!), dodał śliczne solo na *viola d'amore* (nowość!), w momentach dramatycznych wzmocnił siłę... instrumentów, przypiął dla uciechy paradyżu trywialnie naturalistyczny „śpiew słowika”, zaaranżował wszystkie

krótkie kantilenki i urywkowe, wzbijające się i spadające beznadziejnie mgliste zawiązki „idei muzycznych”, jak nie można lepiej, wprawną ręką, z wrodzoną delikatnością i rafinacją, efektownie, zreżymie, pikantnie...

Najdoskonalszym okazem tego, co potrafi weryzm muzyczny włoski, pozostały do dziś dnia „Pajace” Leoncavalla. Nie prześcignął nikt z nowej „szkoły” tej ultra-dramatycznej kreacji, obleczonej w przedziwne kunsztowne formy muzyczne. Tem mniej nie prześcignęła „Madama Butterfly” (jak brzmi w oryginale tytuł opery) Leoncavallowych „I pagliacci”. Cechuje ją tylko oczywiście doskonała robota wykwalifikowanego i doświadczzonego majstra, ale robota owa, podziwiana przez smakoszy muzyki... w partyturze opery, nie rewanżuje i nie zastąpi—krótkiego oddechu twórczego. Cała muzyka w „Pani Butterfly”, łącznie z wychwalaną w niej czystością i oryginalnością „stylu Pucciniego”, jest, bądź co bądź—muzyczką.

Ale—sympatyczna efektność, artyzm w dobrym guście, interesujący nastrój ogólny i malowniczy wygląd „dzieła” przez to nic nie tracą. „Madame Butterfly” tworzy bardzo wdzięczne i szlachetne cało-wieczorowe widowisko dramatyczno-koncertowe, któremu przyglądać się i któremu przysłuchiwać się można z żywym a nie słabnącym zadowoleniem—nie tylko raz jeden.

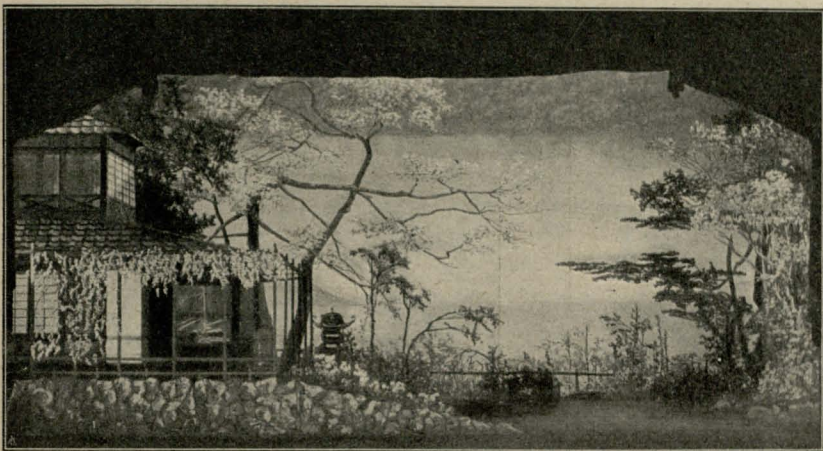
U nas uczyniono z premiery w Teatrze Wielkim coś na kształt uroczystości muzycznej, jakby nie wiedzieć jakie arcydzieło miało nam się objawić. Panie z łóż i parteru przywdziały najwykwintniejsze tualety swoje teatralne, a w łoży p. konsula perskiego zasiadł w własnej osobie sam brat rodony szacha, bawiący, jak wiadomo, od dłuższego czasu w Warszawie. Ubiegano się o miejsca, albowiem bez żadnych przedwstępnych porozumień się zgodzono się w sferach, stanowiących *tout Varsovie*, że ukazanie się na premierze „Madame Butterfly” jest w najlepszym „tonie”. No, i urządzono sobie wieczór teatralny całkiem wyjątkowy pod względem grandezzy towarzyskiej i doboru *select* publiczności.

Przyzna każdy, że najzupełniej godziwie to *passetemps*, które, mówiąc nawiasem, przyczyniło się niepowodzenie do urozmaicenia i skrócenia sobie niemożliwie długiego antraktu między pierwszym aktem a obu następnymi. Prawdę rzekłszy, wobec sali, przepelnionej znajomymi i spragnionej oglądania... samej siebie—można było odegrać całą „Madame Butterfly”—w antraktach, nie zaś odwrotnie. Znam wielu, którzy i które uzalaliby się tylko—z konwencyonalnego obowiązku.

Czy „Madame Butterfly” wywiera niezwyklejsze wrażenie? Sądzę, że silniejszego nie wywiera. Wszystko w niej ładne, a to, co ładne, nie ma przywilejów tego, co—piękne.

Ładna, bardzo nawet ładna np. dekoracja pierwszego zaraz aktu: wybrzeże strone nad morzem, do-





Dekoracja (medyolańskiej „La Scala”) pierwszego aktu „Madame Butterfly”.

mek, „otwierany” ze wszech stron, rzucony na owo wybrzeże; kwitnące drzewa, chryzantemy wszędzie, a w głębi, w perspektywie, Nagasaki, sięgające wybiegami swymi aż ku latarni morskiej... Ładne to migotanie światełków (robaczek świętojańskich) po drzewach w noc księżycową. Ładne fruwanie gejsz po scenie; śliczny chór tychże gejsz, wspinających się od morza na wzgórce; ładna w drugim akcie perspektywa na ogród okwiecony poprzez otwarte ściany domku pani Butterfly... Wszystkiego nie wyliczę.

Ale, gdy się to wszystko już widziało „przed oczyma duszy”, ot, czytając książkę — Lotti’ego, tedy nawet słynne oczekiwanie Cio-Cio-San, dziecka jej i wiernej Souzuki przez noc całą na przybicie do lądu statku, wiozącego powracającego Pinkertona — nie dorównywa (oglądane na scenie) temu, co dała nam: nielada czarodziejka, wyobraźnia nasza.

Żle jest czasem czytać naprawdę piękną książkę przed oglądaniem wyciętej z niej ładnej premiery operowej...

A Bellincioni?

Gemma Bellincioni, jak słyszę, „kreowała” we Włoszech bohaterkę Pucciniego. Bardzo pięknie, ale nie widzę dobrej racji przyznawania jej *dlatego*: monopolu najdoskonalszego po wieki wieczne odtwarzania



Gemma Bellincioni w „Madame Butterfly”.

biednej, małej Cio-Cio-San. Sądzę nawet, że długo czekać nie będziemy na doskonalszą „Madame Butterfly”, niż ta, którą prezentuje nam Gemma Bellincioni. Gra, w drugim i trzecim akcie — znakomicie; w pierwszym gra słabo, bo nie leży w naturze jej niepowzedniego aktorskiego talentu odtwarzanie świeżo rozkwitających uczuć dziewczęcych; Bellincioni jest *par excellence* tragiczka. Co zaś do śpiewu, to dziś, po tylu latach brylowania, głos jej stracił świeżość i giętką dźwięczność, bez których nie sprostać trudnej, błyskotliwej i filigranowej roli. Kona Bellincioni świetnie, z walesem, osłaniającym twarz, akcentując realizm gry całej dogorywaniem, rzucającem ciało po ziemi; ale realną piętnastoletnią gejszą japońską — nie jest, nie może nią być.

Całość jednak opery, dyrygowanej umiejętnie z za pulpitu w orkiestrze przez p. Rukawinę, szła poprawnie i składnie, bez osobliwych popi-

sów śpiewaczych, ale z dobrze, jak zazwyczaj, wyćwiczonymi chórmi.

Wszystkie przeto podkreślenia wyżej, że Puccini to — tylko Puccini, nie ujmują w niczem zasługi dyrekcyi opery naszej, że nam na repertuar wprowadziła „Madame Butterfly”. Bardzo to pożądane i wdzięczne, i *comme-il-faut* urozmaicenie teatralnych wieczorów operowych, z którego publiczność nasza nie omieszka napewno korzystać gorliwie.

I słusznie uczyni.
CZESŁAW JANKOWSKI

Feminizm w Turcyi.

Z końcem zeszłego wieku i na początku bieżącego rola kobiet w życiu politycznym Europy zaczęła wzrastać coraz to więcej.

Ale nikt nawet nie przypuszczał, by kobiety tureckie, które, jak powszechnie mniemają w Europie, pędzą swój żywot w haremie, jak w więzieniu, mogły się zajmować sprawami politycznymi. Tymczasem, jak się okazuje, kobieta turecka, korzystając z tego, że, w myśl zasad Koranu, nikt jej nie śmie dotknąć i zrewidować, odgrywa bardzo czynną rolę w ruchu rewolucyjnym: spełnia funkcję kuryera, komunikuje ustnie niektóre bardzo ważne zlecenia w tych wypadkach, gdy nie można było tego piśmiennie uczynić i t. p.

Niektóre z nich, inteligentniejsze, tłómaczą na język francuski lub angielski odezwy, cyrkularze dla wielkich dzienników europejskich. Nigyar hanum, Fatma Visli hanum i wiele innych kobiet tureckich, znanych w świecie literacko-politycznym, które śpiewały o swobodzie i walczyły za nią, nie zasługują na to, ażeby stać narówni z mężczyznami?

Dodać należy, iż Koran nie ogranicza praw kobiety w życiu społecznym, a rygor haremowy nie zasadza się na prawie islamizmu, lecz tylko na zwyczajach, połączonych z zabobonami i tradycjami miejscowymi.

Jedną z najwybitniejszych przedstawicielek feminizmu w Turcyi jest pani Eminé Sémie hanum, małżonka Reszida paszy, teraźniejszego generał-gubernatora (Vali) w Adrianopolu.

Eminé Sémie i Fatma Alié, jej siostra młodsza, są córkami znanego zaszczytnie w literaturze tureckiej Dżeweta paszy, byłego ministra sprawiedliwości, człowieka światłego, który dał córkom wysokie wykształcenie.

Pani Eminé Sémie znana jest w świecie literackim z romansu p. t. „Les pauvrettes” (Biedaczki); dziełko to, z wielkim zapalem czytane we wszystkich haremach, doczekało się już setnego wydania i zostało przetłómaczone na język francuski z przedmową Piotra Lotiego.

Lat temu trzy pani Eminé wezwwała do swego mieszkania wszystkie kobiety postępowe z miasta Serrès i okolicy, na tajną naradę, na której postanowiono, że i kobiety muszą wziąć czynny udział w ruchu rewolucyjnym.

Fatma Alié, młodsza siostra p. Eminé, również mężatka, kobieta rzadkiej piękności, mistrzowską odpowiedzią na dzieło ulema (duchownego) Mahmuda Esada Eifendi p. t. „Poligamia u muzułmanów” zyskała

wielki rozgłos; autorka dowodzi tu, że Koran bynajmniej nie nakazuje poligamii, jak to powszechnie ogół mniema, lecz zaleca monogamię, że tylko w pewnych

wypadkach i to pewnym osobom poligamia jest dozwolona.

Śmiało można postawić obie córki Dżeweta Paszy obok takich kobiet, jak p. de Sévigné, de Stael, G. Sand, M. Curie i innych.

Najgłośniejszą feministką i literatką turecką jest Selma Riza hanem, siostra d-ra Ahmeda Riza, naczelnego



Fatma Alié hanum.

redaktora pisma tureckiego *Mechveret*, wychodzącego w Paryżu.

Mając już lat 13, z głębi haremu pisywała artykuły do dziennika *Terdjoumani-Hakikat*. Wkrótce stała się podejrzaną u władz; śledzono ją na każdym kroku, nawet robiono parę razy rewizję u jej rodziców. A gdy stało się głośnem, że ma zamiar wyjechać zagranicę dla uzupełnienia studyów, policja tajna stała dzień i noc przed jej konakiem.

W ciągu lat 5 Selma nosiła się z zamiarem ucieczki, aż dopiero w roku 1900, przebrana za siostrę miłosierdzia i

za obcym paszportem, przybyła do Paryża do brata. Selma jest połączona z intelektualizmem europejskiego z urodą orientálną. Władza językiem francuskim, jak rodowita Paryżanka, bierze udział we wszystkich kongresach feministycznych. Mawia ona, że, jak za czasów sułtana Mahmuda



Selma Riza hanem.

da kobiety pomagały do wytepienia janczarów, lejąc z okien swych haremów gorącą wodę na ich głowy, tak i ona zwalczać będzie nauką polygamii i inne zabobony haremowe.

Jednocześnie tu i owdzie zawiązały się komitety niewieście, o celach społeczno-filantropijnych, jak np. „Comité National de Bienfaisance de Dames Turques de Kadikieny” w Kadikieny, pod przewodnictwem p. Fatimé Ubeide hanum, córki wielkiego patrioty, Reszada Paszy, jednego z wodzów partii młodo-tureckiej.

W Salonikach powstał komitet dla rozpowszechniania oświaty między dziewczętami tureckimi, zakładania średnich i wyższych zakładów naukowych na wzór zagranicznych i t. p.

Czytamy dalej w dzienniku tureckim *Millet* (po polsku „Nacya”), że jedynaczka zmarłego sułtana Murada V oddaje się z zamiłowaniem muzyce. Kompozycje jej wydano pod pseudonimem, a jedną z nich wykonała orkiestra de la Garde Républicaine w Paryżu w wielkiej sali koncertowej w Trocadero na jednym z koncertów dobroczynnych w roku 1907.

Wreszcie od niedawna w Salonice poczęto wychodzić pismo, poświęcone sprawom kobiecym, p. t. *Ka-*

dina (Kobieta). Wszystkie wybitniejsze feministki europejskie przyrzekły swoje współpracownictwo temu organowi, który ma już okazałą liczbę 15,000 abonentów.

Taki postępek odrazu zrodziła pokojowa rewolucja w Turcji. Opinia publiczna jest po stronie nowoturek, i nie ulega wątpliwości, że jednym z pierwszych zadań przyszłego parlamentu tureckiego będzie zupełne równouprawnienie kobiet. Będzie to niemały tryumf sprawiedliwości i swobody.

Pera 14. IX, 1908

Dr. J. FRUZIŃSKI-EFFENDI.



Kalendarz gdański z 1683 r.

KALENDARZE.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Na starego kalendarza karcie
Ręką dziada podkreślony dzień...

Na starego kalendarza karcie
U dni nowych, jak żołnierz na warcie,
Cień przeszłości, szary, smutny cień...

Noc jesienna... Liść zawiedły pada,
Niebem srebrna księżycowa twarz...

Z żółtkłej karty coś gada i gada,
Coś się snuje od dziada pradziada...
Bije apel! postawiona straż!

Na starego kalendarza karcie
Do szeregów biegnie szary cień...

Na starego kalendarza karcie
U dni nowych, jak żołnierz na warcie,
Ręką dziada podkreślony dzień!

Kalendarz to najbardziej wiejska z książek, to po Ewangelii i „Złotym Ołtarzyku” najpierwsza.

Bogdaj przed elementarzem jeszcze zawędrowała pod strzechy.

Najpierwsza—bo kto tam za pana Duńczewskiego czasów o elementarzu myślał!

A kalendarze—ho ho! bez tego obyć się nie można już wtedy było, zwłaszcza na wsiach.

Kalendarz to doradca, to przyjaciel dworu ziemiańskiego od dawien dawna.

Czy zmiana księżycy, czy wypróbowana porada o „należytym krwie puszczaniu”, czy wreszcie niezawodny przepis na „baby parzone wyśmienite”—jak w dym, do kalendarza!

A nie tylko doradcą i przyjacielem uczonym bywał kalendarz, ba! i powiernikiem najzaufanym.

Na starego kalendarza kartach, na tych „Duńczewskich”, „Gdańskich”, „Stu-letnich” obok przepowiedni: „stronami deszcz, stronami pogoda” ręka dziadów i naddziadów zapisywała ważniejsze zdarzenia rodzinne i nie-rodzinne...

Ba! bywała tam nieraz w urywkach historia krajowa, karta dziejowego znaczenia! bywały łzy i radości!

Czasem proste podkreślenie daty, lub krzyżyk, stawiony przy jakim Świętym Pańskim, starczył... i dla przyszłego historyka był dokumentem wielkiej wagi.

A bywało tych podkreśleń i krzyżyków po starych kalendarzach niemiara!

Każdy miesiąc, każdy omal tydzień coś dorzucał dla... pamięci.

Bywały daty weselne, majowe, bywały chmurne o listopadowych mrokach lub zimowej zamieci przy kominku notowane...

Wydanie „Duńczewskiego”...

Na starego kalendarza karcie ręką dziada podkreślony dzień...

Anno Domini... król Jegomości...

Na starego kalendarza karcie krzyżyk...

Imci Pan Rotmistrz... Świeć mu, Panie!

Po kalendarzach „Duńczewskiego” przyszły inne i znowu:

„W pokoju babci zieleń woń,
Lśni lampka przed ołtarzem...
Babunia srebrną chyli skroń
Nad starym kalendarzem”.

„W pokoju babci zieleń woń,
Zadzwonił kurantowy...
Na srebrnej babci srebrną skroń
Poranek padł majowy”.

„Zaświtał... błysnął w jasnych skrach,
Jak lampa u ołtarza...

I w podkreślonych zagast dniach
Starego kalendarza”!

I jeszcze inne... „Jaworskiego” i wreszcie dobry znajomy z dzisiejszych pokoleń, zielony kalendarz „Ungra”.

A zawsze z dopiskami.

Tu pod marcową datą: „Trzeba po chłopców konie posłać na święta”, tu „imieniny pani Radczyni”, gdzie indziej czerwonym ołówkiem podkreślona rocznica... I niejedna od smutnych aż do tych szczęśliwych, poufnych, co się później w srebrne lub złote przeobrażały gody.



Nowy kalendarz (z albumu M. E. Andriollego).

„Spojrzał w kalendarz... Szczęścia łąg
Nabiegła mu żrenica...”

— Żonusiu! — szepnął — wiesz ty co?

— No zgadnij! dziś rocznica!

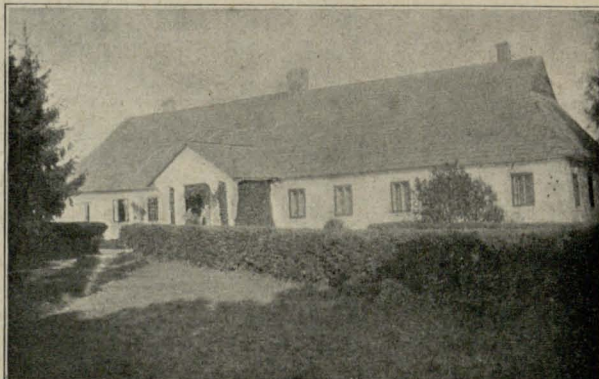
Mój Boże! jak to płynie czas,

Siądź przy mnie... pogadamy...

Pamiętasz? gdy to pierwszy raz

Zastałem cię bez... mamy”?

Niejedno widział, słyszał, mówił i zapisał kalendarz. I trwa na swoim stanowisku, nie opuszczając wsi



STARY DWÓR W SIENSKU (gub. kielecka, powiat jędrzejowski) ze słonecznym kalendarzem na boku frontowej ściany. W dworze tym Kościuszko po bitwie szczekocińskiej spędził kilka godzin.

i roli. Na roli nawet rozsiadł się na dobre, sięgając do zagród włościańskich z pożyteczną radą i wskazówką.

I w estymie też mieć go potrzeba. Obywatel to prawdziwy, taki naprzykład kalendarz, wydany nakładem Wydziału Centralnego Kółek rolniczych. Esteta z formy,



Okładka kalendarza „Kółek rolniczych”.

demokrata z przekonań, a już co rolnik to zawołany!

Niema wprost rady, wskazówki, informacji, którejś w nim, a raczej w nich, nie znalazł. W nich—bo *omne trinum perfectum*, więc i kalendarz „Centralnego Towarzystwa rolniczego” trojaka przybrał formę.

Jest oprawny rodzaj podręcznego notatnika, jest w wydaniu więcej rozumowanym, jest popularny dla kółek rolniczych.

Tanio—więc wszystkie trzy mieć nie zawadzi, ale już ten ostatni konieczne.

Obywatel to prawdziwy. A złożyły nań więzankę prac przednie pióra.

Niechajże więc wędruje pod strzechy.

Szczęść, Boże! Bogdajby na kartach tych kalendarzy, kiedyś... kiedyś ci, co po nas przyjdą, znaleźli świadectwo, żeśmy „nieśli oświaty kaganiec”!

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

Jubileusz Ojca Świętego.

Dzień 8 b. m., w którym cały świat katolicki w podniosłości ducha obchodził pięćdziesięciolecie kapłaństwa Głowy Kościoła, Piusa X-go, i w naszym grodzie minął uroczystość. Zapelniona trzykrotnie po brzegi wielka sala Filharmonii, piękne przemówienia, płynące z estrady majestatem dźwięki pieśni chóralnych i deklamacje, podniosły nastrój zebranych, wszystko to świadczyło wymownie o szczerości uczuć, o gorącym pragnieniu złożenia hołdu najczcigodniejszemu Sternikowi Łodzi Piotrowej.

Uroczystość ta u nas podwójnie posiada znaczenie: jest nie tylko opowiedzeniem się wyraźnym i mocnym przy chorągwi Chrystusowej, ale jeszcze

i zmanifestowaniem wierności ideałom narodowym, które w kraju naszym, przechodzącym od wieku tak dziwne i smutne koleje, spłoty się w szczególny sposób z interesami Kościoła: naród, którego dzieci pod batem muszą modlić się w obcej mowie, który zresztą i w przeszłości swej politycznej walczył nie tylko *pro rege*, ale i *pro fide*, świadom jest tego, że na stolicy apostołskiej ma nie tylko głowę Kościoła, ale i naturalnego obrońcę swych praw narodowych. Poprzestając tymczasem na tej krótkiej wzmiance, w następnym numerze, w dłuższym, wyrozumowanym artykule powrócimy do sprawy jubileuszu i stosunku Rzymu do współczesnego życia politycznego Polski.



Postacie niewieście z „Nocy Listopadowej“ S. Wyspiańskiego w Teatrze Krakowskim.
Pallas Atene (Wysocka), księżna Joanna (Solska), Kora (Ordon Sosnowska).

Pożyteczna instytucja.

Słyszeliśmy kiedyś tego rodzaju paradoks: jakie to dziwne, że, pomimo wychowania, tylu pomiędzy nami porządnymi i rozumnych ludzi.

Pod grubą skorupą przesady kryje się tu w głębi drobne ziarenko prawdy: w samej rzeczy, uderzmy się w piersi i zapytajmy, czy umiemy chować własne dzieci? Aż straszno pomyśleć, ile się popełnia potwornych błędów w życiu codziennym, błędów, które pozostaną, jako niestarte ślady, na wrażliwych, jak czułki, duszach dziecięcych.

Nasi ojcowie chowali nas w zbytnej grozie, mie wali „kańczug pedagogiem“, karząc cielesnie swych „urwisów“ często za własne winy, kiedy np., niedostatecznie przygotowanych posławszy do szkoły, chcieli widzieć co tydzień dobre stopnie w dzienniczku. Dzisiejsze pokolenie rodziców grzeszy, wprost przeciwnie, karygodnym pobłażaniem.

— Nie chciałam mu dać słodyczy, bo wiem, że mu to szkodzi, ale napał się i nie mogłam odmówić—mówi jedna z matek.

Ellen Key nazwała wiek XX stuleciem dziecka. Wprowadziliśmy tę zasadę w życie—po swojemu: pozwalaliśmy dzieciom na wszystko, byle im tylko dogodzić. Dają się słyszeć już i takie skargi:

— Córka moja poszła na zabawę. Byłam wprawdzie temu przeciwna, ale nie śmiałam zaprotestować.

Nie będziemy wyważali drzwi otwartych: każdy wie o tem, że sprawa wychowania jest naszą prawdziwą bolączką, z czego jednak, niestety, jakże niewiele osób zdaje sobie sprawę!

Ale jakże mamy sprostać wszelkim, nieraz bardzo złożonym zadaniom wychowawczym, kiedy—duszy własnych dzieci nie znamy? Dusza dziecka—jakież to świat odrębny, zamknięty w sobie, a tak różny od tego, co

je otacza! Nie wiemy nawet, że w ciągu ostatnich dwóch dziesiątków lat rozwinęła się w Europie zachodniej i Ameryce niezmiernie ciekawa, z każdym rokiem wzmagać się gałąź umiejętności, psychologia dziecięca.

Ale nas to mało obchodzi! Z radością słuchają matki i babki, juk ich pociechy uczą się mówić, pociesznie przekręcając wyrazy, a nie wiedzą, że te wszystkie *da-da* i *ga-ga*, systematycznie od najwcześniejszej pory, t. j. od pierwszego „gaworzenia“ niemowlęcia, zebrane, są cennym niezmiernie materiałem dla psychologa i językoznawcy. Wyrzucamy na śmiecie skrawki papieru, pokryte rysunkami dziecięcymi, nie myśląc o tem, że jednak te niezgrabne kreski i kółka odkrywają nam świat wyobrażeń i pojęć dziecka, świadczą, nieraz w sposób nader pouczający, jak jego dusza reaguje na kształty i barwy. Gniewamy się na naszych synów i córki za omyłki ortograficzne, nie zdając sobie sprawy z tego, że te błędy to zjawiska psychologiczne, to często brak pamięci wzrokowej, którą ćwiczyć należy we właściwy sposób od lat najmłodszych.

Ileż jeszcze nasuwa się kwestyi, których rozwiązania naukowego zabiegliwe matki winny szukać za wszelką cenę: karność w wychowaniu, gry i zabawy, dzieci w stosunku do natury, uwaga i znużenie, pojęcia moralne u dzieci, kształcenie wzroku i słuchu, t. j. rola rysunków i muzyki w wychowaniu, nerwowość i niedorozwój i t. d., i t. d., rzeczy, które gdzieindziej mają już całą bogatą literaturę, swoje pracownie psychologiczne, liczne materiały statystyczno-obszerny, u nas—zaledwie parę broszur i dziełek i kilkunastu pracowników, oddanych z zamiłowaniem i samozaparcem badaniom duszy dziecięcej!

To właśnie grono osób, związanych wspólnością prac i celów, powzięło jesienią 1905 roku myśl założenia u nas „Towarzystwa badań nad dziećmi“. Sprawa

napotkała narazie trudności formalne—i dopiero w dniu 27 maja 1907 r. nastąpiło pierwsze zebranie organizacyjne nowej instytucji.

Już zaraz w pierwszym roku działalność Towarzystwa była bardzo ożywiona: odbywały się zebrania naukowe, odczytywano ciekawe referaty, roztrząsano je wszechstronnie, a w ten sposób można się było zapoznać ze współczesnym ruchem naukowym w dziedzinie badań nad dziećmi i t. p. Między innymi zabierali głos: p. Aniela Szcówna, przewodnicząca Zarządu, K. Appel, wybitny językoznawca, Wł. Dawid, znany działacz na polu psychologii i pedagogii, dr. Wł. Chodecki, dr. Wł. Sterling, dr. L. Wernic i wielu innych. Przytem Towarzystwo rozporządza dość zasobną czytelnią, zwłaszcza w zakresie pism naukowych.

Zdawałoby się, że setki ojców i matek pośpieszą uzupełnić braki swego wykształcenia pedagogicznego. Tymczasem... tymczasem lista członków tej niezmiernie pożytecznej instytucji w pierwszym roku wynosiła zaledwie—80 nazwisk. Mało, przerażająco mało na miasto milionowe!

Ale czas jeszcze naprawić błąd, zapewne błąd niewiadomości—i nadesłać swoje zgłoszenie na ręce Zarządu (Chmielna 29 m. 5), pamiętając o tem, że: lepiej późno, niż wcale.

A młodej instytucji życzymy pomyślnego rozwoju, owocnej pracy na tej, tak potrzebującej uprawy trokliwej niwie.

Przyznać należy, że Zarząd Towarzystwa, jak na skromne swoje środki, i w tak niedługim, bo półtorarocznym okresie swego istnienia, zrobił już bardzo wiele: postawił instytucję na poziomie rzetelnie naukowym, zjednał sobie współdziałających wybitnych sił umięjętnych i t. p.

Z pośród wielu nowych zrzeszeń, stworzonych ostatnimi czasy, jest to jedno z tych, którym społeczeństwo nie powinno odmówić swego poparcia, ani pozwolić wegetować.

Że nie odmówi, nie wątpimy.

hg.

O WSCHODZIE SŁOŃCA.

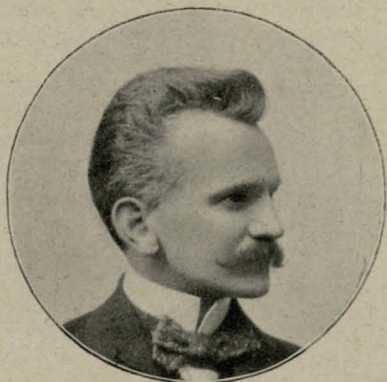
Jeszcze siność przyjemne spowijała dale,
Gdy na wschodzie poczęły różowić się zorze,
Jakby jakieś cudowne, przeogromne morze
Rozlewało po niebie królewskie swe fale...

Jeszcze zroszone łany drzemały ospale,
Przeciągały się w cieniu, budząc róże hoże,
Gdy słońce, śląc promienie—posły swe w przestworze,
Zajaśniało złociście na samotnej skale...

Często życia płaszczyzny jeszcze nie zachmurza,
I duch w pętach ciemności zмага się i kurczy,
A nie mając oparcia, w śnie pogrąża siebie —

Gdy pierwsze ranne błyski Bożej myśli twórczej,
Co, jako zorze, płoną na dalekim niebie,
Ozłacają samotne wielkich bytów wzgórze...

WIKTOR DZIERŻANOWSKI.



Władysław Weryho.



Aniela Szcówna.



Dr Władysław Chodecki.



Edmund Bogdanowicz.

CZŁONKOWIE ZAŁOŻYCIELE TOWARZYSTWA BADAŃ NAD DZIEĆMI.

Jerzy Badura

WSPOMNIENIE JUBILEUSZOWE.

Na Śląsku pruskim, w obwodzie rządowym wrocławskim, tuż prawie na między językowej niemieckopolskiej, leży wśród rozległych lasów ciche, ustronne miasteczko Międzybórz, od niedawna dopiero przechrzczone na Neumittelwalde.

Tutaj, w dniu 9 b. m. miejscowy pastor zboru polskiego, Jerzy Badura, obchodził czterdziestolecie urzędu kaznodziejskiego. Jubileusze wśród duchowieństwa



Pastor Jerzy Badura.

wszystkich wyznań bywają wszędzie zwyczajnym i pospolitem zdarzeniem, ale warunki i okoliczności, w których działać przychodzi pastorowi polskiemu w Prusach, są istotnie bardzo niezwykłe, i człowiek, który obowiązki powołania na stanowisku

tem chce zgodnie z potrzebami ludu wypełnić, musi być niepospolitym człowiekiem. Jest nim z pewnością Badura, jedyny i ostatni prawdziwie polski pastor w Prusach, pomimo że żyje tam jeszcze z górą 400,000 ludności polskiej wyznania ewangelickiego.

Jerzy Badura jest rodowitym Ślązakiem z księstwa cieszyńskiego. Urodził się 4 kwietnia 1845 r. w Drogomyślu, w powiecie bielskim. Gimnazyalne studia odbył w Cieszynie, uniwersyteckie na fakultecie teologicznym w Wiedniu, gdzie należał do założycieli stowarzyszenia polskiego akademickiego *Ognisko*, wreszcie w Lipsku, zjeżdżając na wakacje do Cieszyna, gdzie wtedy z domu pastora Otto rozlewały się szeroko i daleko ożywcze prądy ducha polskiego. Otto i Stalmaeh, przy którym po ukończeniu studiów pracował czas jakiś w redakcji *Gwiazdki Cieszyńskiej*, oddziaływał niewątpliwie na młodego teologa. Niedługo przecie twała jego dziennikarska praca.

Jako duchowny, otrzymał powołanie w Tressdorff w Karyntyi, skąd jednakże, party tęsknotą do pracy dla swoich, powrócił wkrótce do kraju. Był jakiś czas kaznodzieją zboru ewangelickiego w Krakowie, zaś w r. 1872 przeszedł do Prus w służbę ewangelickiego kościoła krajowego. Tu pracował, jako wikary w Mysłowicach, polski dyakon w Sycawie, jako pastor w Laskach pod Kępem, wreszcie od r. 1883 jest pastorem wielkiego zboru polskiego w Międzybórz.

Zaczynały się już odzywać w Prusach pierwsze pomruki hakatyzmu. W kościele ewangelickim burza germanizatorska zagrzmiała wcześniej i silniej, niż na innych polach życia. Władze kościelne ewangelickie urządziły istną nagankę na język polski, a przychodziło im to z łatwością, bo nieświadomiona ludność polska wyznania ewangelickiego nie posiadała dostatecznych zasobów wewnętrznej odporności. Zniesiono polską konfirmację, zabraniano katechizacji w ojczystym języku dzieci, zmniejszano lub kasowano zupełnie nabożeństwa polskie.

Pastorzy, zwykle Niemcy lub ziemczeni Polacy, zapomniawszy o tem, że zadaniem ich głosić Ewangelię, oddali się wyłącznie sprawie germanizacji. Kościół przestał być dla nich celem, a stał się tylko kuźnią, w której polskich parafian usiłują przekuć na Niemców. Wśród tego szału nienawiści, który opętał duchowieństwo ewangelickie w Prusach, Badura pozostał jedynym wiernym zasadzie miłości Chrystusowej, na straży interesów duchowych swego zboru polskiego.

Bronił ich wszędzie, skąd groziło niebezpieczeństwo, u landratów, superintendentów i w konsystorzu. Doznawał stąd ciągłych przykrości, nieraz i strat materialnych, lubo w ruchu politycznym nie brał żadnego udziału. Życie jego było i jest pasmem ustawicznych prześladowań, które znosić umiał z żelaznym charakterem i pogodą duszy.

Już sam fakt, że rodzina i dom jego noszą polski charakter, drażnił okolicznych germanizatorów. Gdy w polskich parafiach pruscy pastory są tylko wyłącznie urzędnikami pruskimi, Badura jest prawdziwym ojcem duchowym swojego zboru. Otacza go też cześć i miłość. Mimo prześladowań, wytrwale stoi na zagrożonym stanowisku.

Wbrew naciskowi z góry w każdą niedzielę w kościele międzyborskim słycać dotąd wymowny, donośny głos starego pastora, kazającego piękną, jędrną, przypominającą czasem język XVI wieku polszczyzną, w jakiej tylko wczytani w stare postylle ewangelicy cieszyńscy kazać umieją. W tym samym pięknym języku pisał także rzeczy treści religijnej. Publikował je w *Zwiastunie*, *Ewangeliku* i *Przyjacielu ludu* cieszyńskim. W roku 1884 brał czynny udział w *Nowinach Śląskich*, wydawanych w Wrocławiu, ale, lubo pismo to nie było właściwie politycznym, z rozkazu konsystorza musiał ustąpić z współpracownictwa.

Oddzielnie opublikował dzieje Kościoła i egzegezę słów: *Chleba naszego powszedniego*. W nakładzie cieszyńskiego Towarzystwa oświaty ewangelickiej przygotowany jest do wydania rocznik kazań Badury.

W szeregu tych wiernych, dzielnych Ślązaków, którzy w drugiej połowie minionego stulecia na starej piastowskiej ziemi pracowali dla przyszłości, Jerzy Badura jest jedną z najszlachetniejszych i najpiękniejszych postaci.

ALFONS PARCZEWSKI.

Wysoki gość ze Wschodu.

Nie zapowiadany ani oczekiwany przez nikogo, przybył do Warszawy przed miesiącem dostojny książę z panującej w Persyi rodziny cesarskiej Kadzarów.

Nie sprawiono mu ani wjazdu ostentacyjnego, jak to bywało podczas odwiedzin jego dziada, Nasr-ed-dina, i ojca, szacha Muzafer-ed-dina, ani nie zainstalowano go w żadnym z pałaców warszawskich, których prze-



Książę Salar-ed-doule, brat szacha perskiego.

lotnymi gośćmi byli dwaj wspomniani monarchowie perscy.

Bo książę perski nie dla rozkoszy ani zabawy zawiązał do Warszawy. Przybył on tu jako wygnaniec, skazany na przymusowe opuszczenie ojczyzny przez obecnego reakcyjnego władcę Iranu szacha Mohameda-Alego, swego rodzzonego starszego brata, co najmniej na dwa lata.

I książę Abul Fath Mirza Kadzar Salar-ed-doule (co znaczy po polsku: Lew książę Kadzar, naczelnik rządu) wybrał na miejsce swego wygnania—Warszawę, która była już nieraz siedzibą książąt *en exil*, i gdzie książę perski, jak sam z całym przekonaniem opowiada, czuje się tak dobrze, że pozostanie tu z pewnością na dłużej.

Historia księcia, pomimo jego młodości, liczy bowiem dopiero lat 28—nie jest tak krótka, jakby się wydawać mogło, i obfituje w romantycznej natury wydarzenia polityczne.

Ulubiony syn nadawcy konstytucji w Persyi, szacha Muzafer-ed-dina, dla swojej roztropności, rozumu, przezorności i taktu używany był przez ojca do spełniania pierwszorzędných usług państwowych w zarządzie wewnętrznym najdzikszych i najniekulturalniejszych prowincyi Persyi, których był wielkorządcą.

Śmierć ojca zastała ks. Salar-ed-doule w Luristanie, gdzie ukochanego przez ludność miejscową księcia zaskoczyło również, wbrew nadziejom jego wolnomysłnego usposobienia i pragnieniom najliberalniejszych rządów—rozpędzenie młodego parlamentu (medżyliisu) i cofnięcie konstytucji przez panującego szacha.

Wówczas książę na czele wiernych mu luristan zaprzagnął stawić czoło reakcyjnym rządowi szacha-brata i zmuszony był nawet chwycić za oręż w obronie swojej, gdy Mohamed Ali wysłał przeciw niemu do Luristanu wojska rządowe. Ale czego nie mogło dokonać ono, zdziałał tak często na Wschodzie praktykowany podstęp. Oto pewnej pięknej nocy gwiazdzistej, kiedy Salar-ed-Doule zasypiał snem sprawiedliwych pod skrzydłem opiekunów konsulatu angielskiego w m. Kirman-szachu, któremu powierzył był całość swojej osoby, dzięki intrydze podstępnej inicjatora reakcji, ministra Mirzy Alego Askiera Chana, był wydany przez konsula w ręce rządu szacha, który kazał opornego brata dostawić do Teheranu. Po długim wwięzieniu tutaj we własnym pałacu ks. Salar-ed-doule, skazany przez szacha na wygnanie, jako zbyt niebezpieczny, bo umiłowany przez cały naród perski współzawodnik dzikiego satrapy Mohameda Alego, przybył do Warszawy.

Spotkacie go w mieście, zwiedzającego w towarzystwie swego przybocznego lekarza urzędzenia wielkomięskiej i największe fabryki oraz zakłady przemysłowe, po cywilnemu, incognito, albo w łożu teatralnej, przybranego w mundur cesarskiej rodziny panującej perskiej Kadzarów, czarny, z bogatymi haftami złotymi.

W czarnych oczach głęboka zaduma i myśl poważna, w pociągłem śniadem obliczu i w całej postaci księcia szlachetna łagodność, i prostota czynią z Salar-ed-doulega interesujące zjawisko, odbiegające znacznie od olśniewających zazwyczaj błyskotliwością postaci innych dostojników „blizkiego Wschodu”.

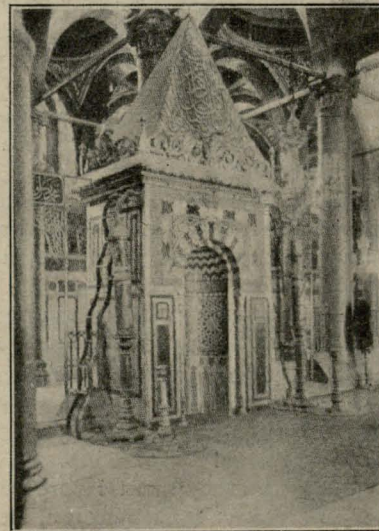
VITIMIR.

W świętym grodzie Islamu.

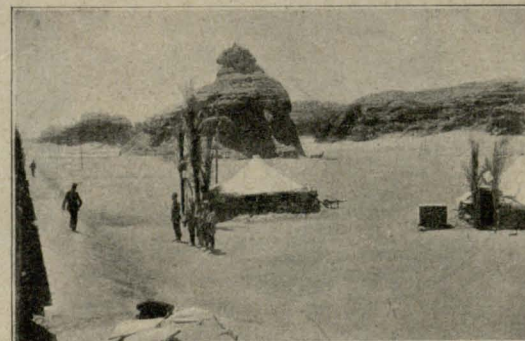
Kultura europejska przenika nawet tam, gdzie dotąd dostępu jej broniły mury odwiecznych przesądów i fanatyzmu.

Rok rocznie, jak nieskończone sznury białych łabędzi, ciągnęły do Medyny, świętego grodu wielkiego proroka, tłumy pielgrzymów, które odtąd już będą mogły odbywać długą i uciążliwą podróż koleją.

Niedawno odbyła się bowiem uroczystość otwarcia tak zwanej Hedzaskiej linii, a uczestniczyli w niej nawet przedstawiciele prasy europejskiej. Jeden z nich, korzystając z rzadkiej okazji, utrwalił za pomocą aparatu fotograficznego także widoki Medyny, na których jeszcze nigdy nie spoczywał dotąd wzrok Europejczyka.

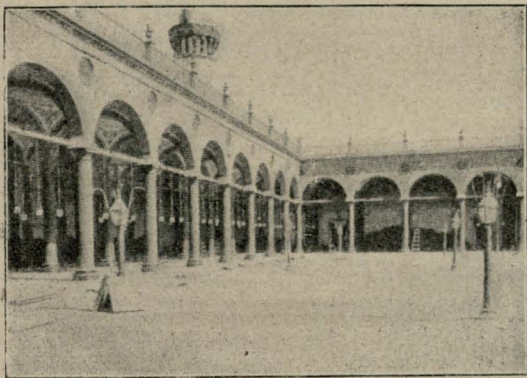


Mir'hab, przed którym modlił się prorok.



Otwarcie drogi żelaznej Iledżaz, do Medyny.

Sultan Abdul-Hamid dla złożenia podziękowania tym wszystkim, którzy przyczynili się do zbudowania kolei, wysłał osobistego swojego sekretarza, Dżewada-paszę. Nadspodziewanie lojalnie do niezwykłej uroczystości odniosła się też miejscowa ludność. Nawet szekowie niepodległych Beduinów wzięli w niej udział, urządzając krzykliwą owacyę starszemu inżynierowi,



Podwórzec meczetu w Medynie.

Mühtar-bejowi. Co prawda, główny inżynier całej kolei, Europejczyk, nie został wpuszczony na święty teren Hedżasu, a wyjątek uczyniono tylko dla niektórych przedstawicieli prasy.

Meczet Huram-ed-Szerif, gdzie znajdują się prochy Mahometa, w dzień uroczystości był oświetlony à giorno, chociaż zewnątrz lśniło palące słońce południa. W starożytnej świątyni płonęły tysiące elektrycznych lampionów, będących jakgdyby symbolem zwycięstwa europejskiej kultury i nauki nad fanatyzmem Islamu.

OD ADMINISTRACYI.

Agentura nasza w Łodzi

„PROMIEN”

ulica Piotrkowska № 81

Telefon 1200

Przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia na rok 1909.

ODPOWIEDZI.

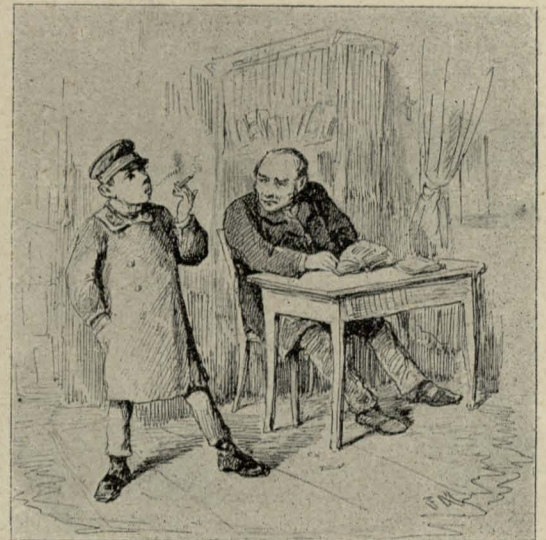
P. Maksymilianowi Gerncichowi. Zaczyna Pan swój wiersz tak:

Gdy wiatr piszczał i huczał
I był przeraźliwie
Zmiatając wszystko napotkane po drodze
I liście spadały i drzewa trzeszczały
Wszystko chowało się w trwodze.
Nie, Panie, to nie poezja! Do kosza!

P. J. Gillowi w *Yos Curtet*. Nie skorzystamy.

P. Leokadyi Ster. w *Sosnowcu*. Rymy pospolite, często gramatycznie czasem kulawe („druha” — „du:ha” to nie rym), treść banalna. Do kosza.

Narcyżowi. Treść wiersza p. t. „Jesień” aż na- zbyt pospolita. Słabe to echo cudzych melodyi. Nie dla nas!



— Jasiu, a ty gdzie znowu idziesz?
— Jeszcze sam nie wiem.
— Lepiej zostań w domu i czytaj sobie książkę, jak ja.
— E... ja nie taki głupi.

Rys. Fr. Kostrzewski.

NADESŁANE.

11 medali, Dyplom honorowy 1908 r.

Apteka E. Gessnera, 27 Jerozolimska 27 w Warszawie

HAEMATOGEN w płynie pigułkach tabletkach czekoladzie.

Z upoważnienia Urzędu Lekarskiego m. Warszawy z d. 29 Listopada 1896 r. № 5152

A. SEGUIN
BORDO (Francya)
Członek Jury
Po za Konkursem
Wystawa Powszechna
PARYŻ
1900

FARBA D^{na} RICHARD'SA
Udoskonalony specyfik do natychmiastowego zabarwienia włosów i brody.

Sprzedaj we wszystkich znacniejszych Perfumerjach, APTEKACH i Składach Aptecznych.

Nowe maszyny
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI
„APOLLO”
nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.

PASY SKÓRZANE
oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca

ALFRED GRODZKI
Warszawa, 33, Senatorska.

Znane ze swej dobroci rękawiczki kosmetyczne na czerwone z odmrożenia ręce, od rub. 2.50, polca Perfumerya W. PASZKOWSKIEGO, Marszałkowska 109.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą
w prenumeracie pism krajowych i zagranicznych po cenach redakcyjnych.

C-SKORYNA I S-ka FABRYKA MASZYN
I NAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

PUDER IRIS
N. LACHS I S-ka
NIESZKODLIWY

MEBLE
ZAŁĘSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1-sze i 2-gie piętro.
Rok założenia 1870. Telefon 16.39.

Wszystkim rocznym prenumeratom „Tygodnika ilustrowanego” po opłaceniu przedpłaty za kwartał IV r. b. rozestane będzie premium za rok bieżący.

HOTEL SAVOY W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

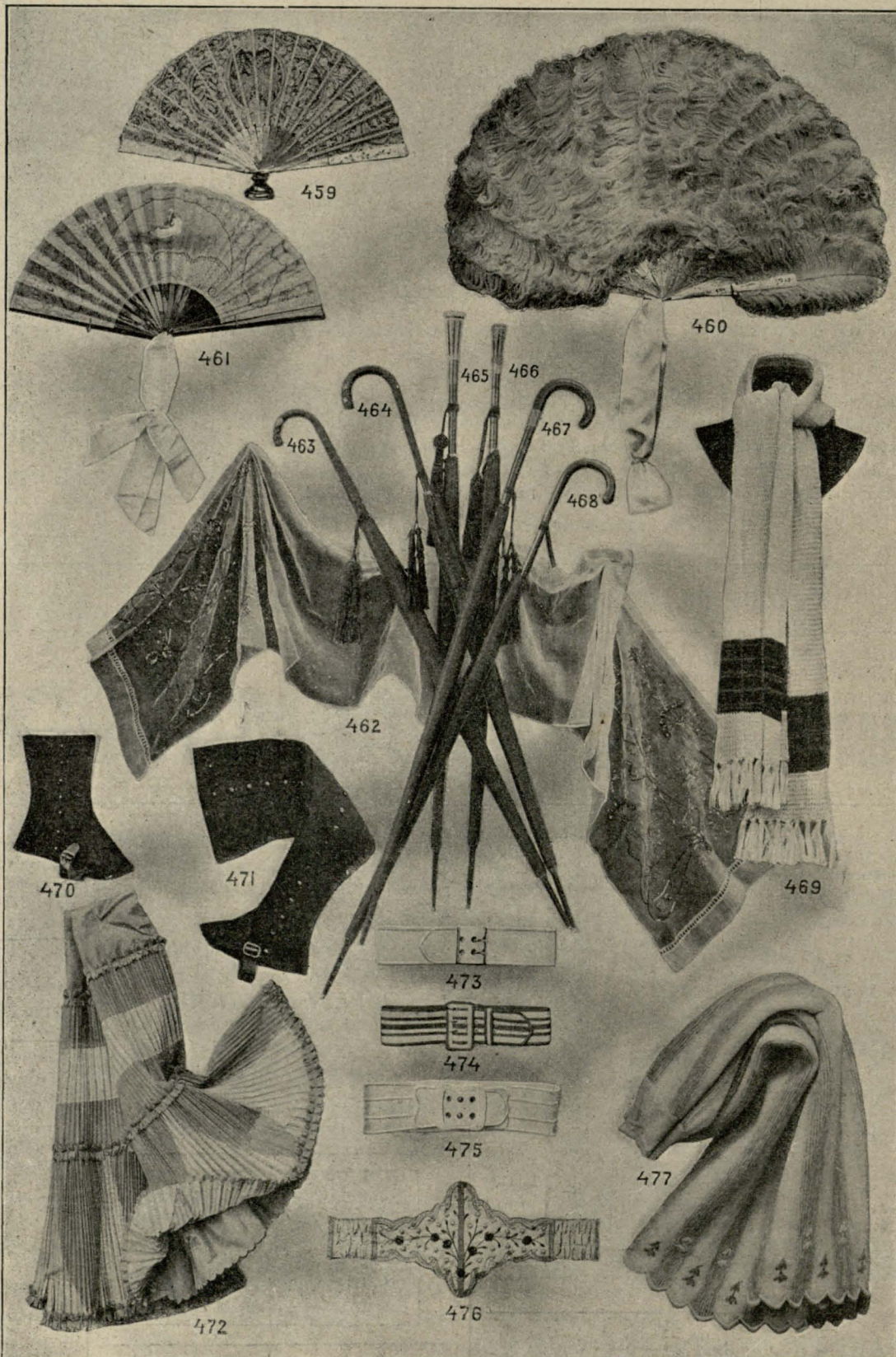
BOGUSŁAW HERSE

POLECA
przed GWIAZDKĄ

WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 150

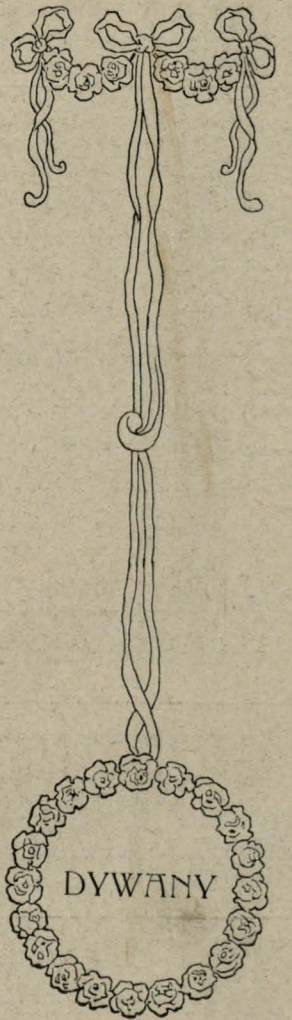
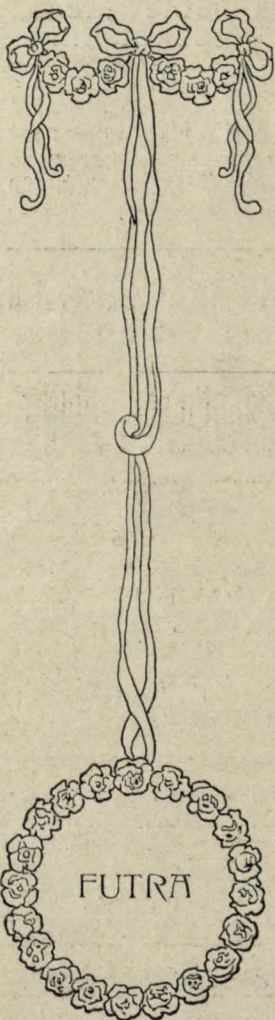
WYKWINTNE
PRAKTYCZNE
UPOMINKI.

Adres telegraficzny:
HERSE-WARSZAWA
Telefony: 15-30
82-30



SUKNIE
KOSTIUMY
OKRYCIA
KAPELUSZE
BLUZKI
NEGLIZE

WĘLNY
JEDWABIE
AKSAMITY
KORONKI
WSTĄŻKI
PRZYBRANIA



- | | | | |
|--|----------|--|----------|
| 459. Wachlarz z prawdziwych koronek „Duchesse” | Rb. 35.— | 470. Kamasze damskie sukienne czarne | Rb. 4.50 |
| Wachlarze z prawdz. koronek od Rb. 28 do Rb. 350 | Rb. 35.— | Dług. 8 guz. Rb. 4.50. Dług. 12 guz. Rb. 5.50 | |
| 460. Wachlarz z piór strusich | Rb. 35.— | 471. Kamasze damskie „Jersey” czarne. | Rb. 4.75 |
| Wachlarze z piór strusich od Rb. 13 do Rb. 180 | Rb. 18.— | Długość 20 guzików Rb. 4.75 | |
| 461. Wachlarz gazowy w szyldkrecie | Rb. 18.— | 472. Halka jedwabna z wolantem plisowanym | Rb. 24.— |
| Wachlarze gazowe od Rb. 1.50 do Rb. 125 | Rb. 7.50 | Halki alpagowe i morowe od Rb. 4.50 | |
| 462. Szal gazowy pająkowy strojny | Rb. 7.50 | Halki jedwabne od Rb. 9.75 do Rb. 60.— | |
| Szale gazowe, jedw. i koronek od Rb. 4.50 do Rb. 125.— | Rb. 4.50 | NOWOSC: Halki „Soleil” jedw. miękkie od Rb. 14 do Rb. 40 | |
| 463. Parasol półjedwabny bardzo trwały | Rb. 5.50 | 463. Pasek skórkowy b. wykwinny | Rb. 3.75 |
| 464. Parasol półjedwabny z ozdobną rączką | Rb. 8.— | 474. Pasek skórkowy fantazyjny w 2 kolory | Rb. 2.75 |
| 465. Parasol jedwabny z ozd. rączką | Rb. 6.75 | 475. Pasek skórkowy zaszywany, ozdobny | Rb. 2.50 |
| 466. Parasol jedwabny cienko zwijany | Rb. 10.— | 476. Pasek jedwabny bogato wyszywany | Rb. 4.75 |
| 467. Parasol jedwabny z piękną rączką | Rb. 16.— | 477. Halka „Laine des Pyrenées” w najlep. gatunku | Rb. 5.50 |
| 468. Parasole angielskie ozdobne do Rb. 48. | | „Laines des Pyrenées”: Matinki od Rb. 8.— | |
| | | Szlafroki od Rb. 17.50. | |

NADZWYCZAJNE PREMIUM

Tygodnika Ilustrowanego

Dla uprzywilejowania najszerzym warstwom nabycia szeregu dzieł wartościowych, pióra pierwszorzędných pisarzy polskich i obcych, postanowiliśmy zniżyć cenę

**12 tomów cennych
i zajmujących**

powieści, nowel, poezji i dramatów tak, aby nabycie ich było możliwe dla wszystkich.

Jakoż oznaczamy cenę tę na RUBLI 2, czyli za ledwie **po złotówce za duży tom**, zawierający od 200—400 str. ścisłego druku.

Na premium nadzwyczajne przeznaczaliśmy książki następujące:

- K. Laskowski:** „Melodye“, poezye.
- T. Jaroszyński:** „Miasto“, powieść współczesna.
- J. Słowacki:** „Zawisza Czarny“, dramat.
- A. Gruszecki:** „Zwycięzcy“, powieść współczesna.
- A. Krechowiecki:** „Mrok“, powieść historyczna.
- M. Gorkij:** „Dzieci słońca“, dramat.
- T. J. Choński:** „Różyczki“, powieść z dziejów poznańskiego.
- K. Gliński:** „Boruta“, powieść historyczna.
- F. Brodowski:** „Chwile“, opowiadania, nastroje, nowele.
- Konar:** „Panny“, powieść współczesna.
- Z. Sarnecki:** „Szklana góra“, baśń sceniczna.
- F. Morzycka:** „Powrotne fale“, nowele.

Nazwiska wymienione mówią same za siebie, reklamować ich nie trzeba; jest to naprawdę jedyna sposobność wzbogacenia biblioteki domowej za bajecznie niską cenę. (Przesyłka 12 tomów rub. 1).

Uzyskaliśmy też dla prenumeratorów *Tygodnika* znaczne zniżenie ceny wspaniałego, pomnikowego wydawnictwa:

**MALARSTWO POLSKIE
W REPRODUKCYCH BARWNYCH**

a mianowicie: zamiast 9 rubli za 6 zeszytów, prenumeratorzy nasi płacić będą TYLKO RUBLI 6, z przesyłką rubli 7 kop. 50.

Wydawnictwo to powinno się znaleźć w każdym domu polskim.

J. GOŁEMBIOWSKI ZEGARMISTRZ

Marszałkowska 111

egzystuje od 1880 roku.

Magazyn zawsze zaopatrzony w pierwszorzędny towar. Ceny niskie. Gwarancja poważna.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,
ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,
WYROBY NOŻOWNICZE

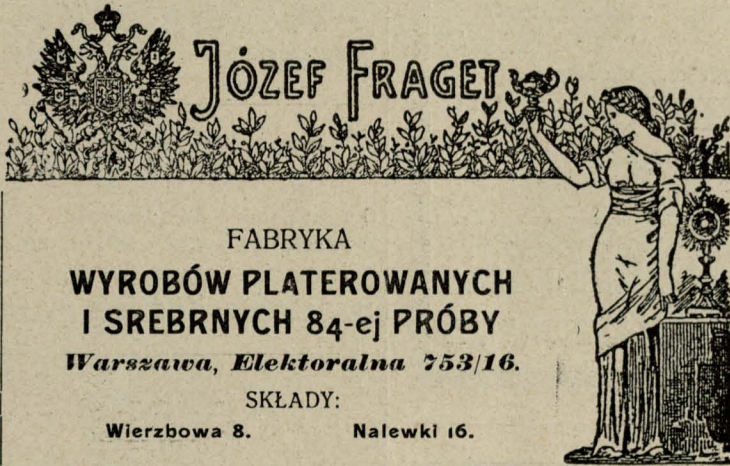
Bronisław Krug

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomysły wyniki w tej mierze. Nie uiega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t. zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiada **mydło „Tataro-Chmielowe“**, wyrabiane w „Centralnem Laboratorium Chemicznem“ (Czekay i Krysiewicz) w Warszawie. Sprzedaż w składach aptecznych.



JÓZEF FRAGET

FABRYKA
**WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY**
Warszawa, Elektoralna 753/16.

SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.



ULEPSZONE GRAMOFONY ORAZ PŁYTY
DWUSTRONNE NOWEGO NAGRANIA POLECA

Skład Instrumentów Muzycznych B. RUDZKIEGO

Warszawa, Marszałkowska 87. Cenniki i spisy płyt bezpłatnie

Najlepsza Pasta do Obuwia „**INTRYGANT**” żądać wszędzie
H. Trembińskiego

POLECAMY NA ŚWIĘTA

KONIAK FRANCUSKI

B. Léon Croizet

Z WŁASNYCH WINNIC

czysty, zdrowy, wykwintny w smaku

Skład główny **NACHTLICHT & KAMIEŃSKI** Warszawa, Tłomackie 1.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja

Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2a, Leszno Nr 4, Długa Nr 19, Chłodna Nr 18, Dzika Nr 7, Praga Brukowa Nr 32.
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.



E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

ODPOWIEDZI.

Panu E. Zysmanowi. 1) Takie pismo już nie wychodzi; 2) Owszem; 3) Najlepiej za pośrednictwem polskiej korporacji, adresować można do uniwersytetu.

Longinusowi. 1) Dublany albo Tabor; 2) Adresy korporacji polskich posiadają pisma codzienne.

B. B. 1) O takim przekładzie nie wiemy; 2) Najlepiej ogłosić o zamierzonej pracy w *Przeglądzie Bibliograficznym* i w *Książce*—oba pisma wychodzą w Warszawie.

Pani Kmicikowej. Jest dopiero projekt, który będzie zrealizowany w przyszłości, a wtedy informacją bliższą służyć będziemy.

Cześćce. 1) Kursy handlowe Siemiradzkiej; 2) O ile się nie ma świadectwa z uończenia pensji, można składać specjalny egzamin.

Syrokomi. Od „chłopa” trzeci przypadek „chłopa”. Reguła ścisła określić się nie da. Szczegóły można znaleźć w gramatyce Kryńskiego.

H. S. Bibliotekę Dzieł Wyborowych wydaje wdowa po ś. p. redaktorze Gądomskim; redaktorem jest Zdzisław Dębicki; adres—Sienna, 2.

P. Albertowi Henrykowi. Powtarzamy: nie znając Pańskich uzdolnień i nic też nie wiedząc o dotychczasowej Pańskiej działalności pisarskiej, nie możemy angażować się w próby, któreby mogły nas narazić na zawód i zwłokę w zreferowaniu książki. Dodać musimy, że dział sprawozdawczy *Tygodnika* posiada stałych referentów.

Antinous. Adres redakcji *Sfinksa*—Hortensya, 4; drugiego adresu chwilowo nie posiadamy.

W. R. W naszej kontrolce pseudonim ten był notowany *W. K.*, grafolog zaś czy zecer przemienili na *W. R.* Nie wiemy, kto przysłał.

P. Paulinie Gilewskiej. Były w tym dziale zaległości, obecnie zmniejszone. W ciągu paru miesięcy.

P. Eug. Dobrz. w Kosowie w Galicyi. Z artykułu Sz. P. p. t. „W drodze ku prostocie” nie skorzystamy.

P. Maciejowi Łub. „Dyrektor”—do zwrotu.

P. H. Poc. w Chorzowie. Nie! Tak młodocianych autorów *Tygodnik* nigdy nie drukował i drukować nie będzie. Czy nie uważa Sz. P., że przedwcześnie rozbudzone ambicje to wielka przeszkoda w nauce?

Bandosowi. Obawy Pańskie sprawdziły się: to jest *Nie!* Forma nie wyrobiona, treść—pospolita.

P. M. K., stałej prenumeratorce Tygodnika. Dziękujemy za pamięć; przy sposobności skorzystamy.

Wileńskiemu stałemu prenumeratorowi. Noty, o których Sz. Pan wspomina, wobec dzisiejszego stanu nauki historycznej nie posiadają większej doniosłości dziejopisarskiej, a przytem dla ogółu czytelników naszych nie byłyby ciekawe; wobec tego musieliśmy je pominąć.

W. M. G. Utwór Pański, p. t. „A jednakże życie jest pięknem”, płód manieri hypernaturalistycznej, nie nadaje się dla *Tygodnika Ilustrowanego*.

P. Tadeuszowi Szantochowi. „Pejzaże” nie! Może co innego.

P. Adamowi Hillerowi. Z drobnych rękopisów nie skorzystamy, zresztą o tych sprawach pisaliśmy już w *Tygodniku*. Co zaś do studium o szkole ludowej, zawiera ono przeważnie surowy materiał, któryby musiał być odpowiednio do potrzeb naszych przetrawiony. Nie skorzystamy.

F. IZDEBSKI Senatorska 6 w Warszawie.
Telefon 20-78
FILIA:
Bracka 20
Telefon 90-85

EGZYSTUJE OD ROKU 1858
Szkła, Porcelany, Fajansu, Majoliki i Naczyni Kamiennych, własna Malarnia
poleca całkowite wyprawy ślubne od najskromniejszych. Herby i monogramy na szkło i porcelanie. Bronzy francuskie, Delfty i Kryształ artystyczne Baccarat. **Stały napływ nowości. Ceny fabryczne.**

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych za **K**ONSERWATOR wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop. najlepszy i nieszkodliwy.
AGATOL proszek i eliksir do **ZĘBÓW** z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych.
Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

Zdrowie mieli i szczęśliwi byli pradziadkowie nasi, kiedy pili stary słowiański trunk

MIÓD

Olbrzymie zapasy miódów w pierwszej największej miodosytni

W. WYSOCKIEGO

w Warszawie, ul. Podwałe Nr 25.

Nabywać można: WARSZAWA: 1) Wysocki (Podwałe Nr 25. 2) Wysocki Mazowiecka Nr 3 (ze sprzedażą na szklanki i 3) we wszystkich znaczniejszych handlach win, restauracjach i piwiarniach całego Królestwa. PETERSBURG: 1) Sienkiewicz, Czernyszewskij Pereulok, Nr 14; 2) Arefjew, Kazański Nr 2. WILNO: 1) Stempkowski, 2) Rymkiewicz, 3) Grużewski, 4) Dawidowski „Veritas”.—KIJÓW: Paszkow i Synowie.—BRJAŃSK: Grabowski.—RYGA: Rathel—ODESA: 1) Bratkowski, ul. Kobleńska Nr 40; 2) Witanowski, ulica Rysziłewska Nr 19 i 3) Tomaszewski, ul. Sadowa 16. —CHARKÓW: Jampolski.—EKATERYNO-SŁAW: 1) Bobowicz, 2) Dzygit i 3) Zaporozcew.
W. Wysocki, Podwałe Nr 25 i ulica Mazowiecka Nr 3. Wina słodkie i wytrawne, sprowadzane z pierwszych rąk, w najlepszych gatunkach, po cenach najniższych, począwszy od 35 kop. Również Wina zagraniczne, Likier i t. d.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKÓW TELEFON 671

ZABAWKI

Gry salonowe. **Kotylionowe** przybory.
Witraże do okien. **Filtry** do wody.
Nowości paryskie. Katalogi franco.
MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).

MIŁUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaż elektryczny** usuwają rapturę, nie kępują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów w **dobrym gatunku**. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie **Michała Pik**, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

PASTILLES
DE

**TAMAR
INDIEN
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

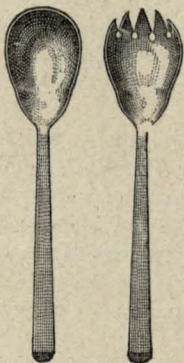
We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający
PRZECIWI

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

E. Hilber



A. JASKULSKI

WARSZAWA, WIERZBOWA Nr 1.

SKŁAD FABRYCZNY WYR. PLATEROWANYCH
Akc. Tow. R. PLEWKIEWICZ i S-ki

poleca: Sztuczce i nakrycia stołowe najnowszych modeli na wyprawy. Wielki wybór artykułów z brązu, srebra, niklu i t. p., stosownych na wszelkie dary i prezenta okolicznościowe.

NAJNOWSZE CENNIKI ILLUSTROWANE.



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOLE,
ORGANY,
MELODYKONY



GEBETHNER i WOLFF

Warszawa, Krak.-Przed. 17

Koncesjonowana przez c. k. Namiestnictwo
SZKOŁA MALARSTWA

(DLA MĘŻCZYZN I KOBIET)

Leonarda Stroynowskiego

W KRAKOWIE.

Gołębia Nr 14.

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach, spirytusowe lampy, palniki, kucharki, żelazka i t. p.
B. WIŚNIEWSKI i S-ki
Pokusal 15, Telefon 3039.



Ządać wszędzie z antiofen.

WIECZORY Najtańsze pismo dla młodzieży.
Wydawnictwa r. XXX.
RODZINNE

Dwa tygodniki ilustrowane łącznie
1) dla młodzieży do lat 16
2) dla młodzieży do lat 11

Prenumerata roczna z odnośniami rub. 4, kwartalnie rub. 1. Poczta rocznie rub. 5, kwartalnie rub. 1 kop. 25. Warszawa, Mazowiecka 10. Wyd. M. BALIŃSKA.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY** SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa